Stron 12

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 20 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V | Łódź, 7 marca 1948 r. | Nr 10 (139)

W NUMERZE:

między innymi:

Tadeusz Landecki

WIOSNA LUDÓW

PRZYCZYNY REWOLUCJI

Rewolucja 1848 r. ogarnęła w szerokim zasięgu znaczną część Europy, szereg ważnych krajów naszego kontynentu. Fala ruchów rewolucyjno-demokratycznych lżejszym muśnięciem dotknęła wtedy Anglię, Irlandię, Holandię, Szwajcarię, Hiszpanię, kraje skandynawskie, zalała zaś z żywiołową siłą Włochy, Francję, Austrię, Prusy, różne państewka niemieckie, Węgry, Polskę, Czechy. Masy ludowe tych krajów walczyły wówczas ofiarnie na barykadach przeciw staremu porządkowi, przeżytkom ustroju feudalnego, absolutyzmowi, uciskowi narodów, jarzmionych przez zaborcze rządy, walczyły w imię najszczytniejszych ideałów ludzkości. Oddawna roztrząsano gruntownie przyczyny tego wspaniałego ruchu wolnościowego i nikt już teraz nie odważy się szczerze bronić tezy, że rewolucje są dziełem garstki nasłanych agitatorów, którzy szerzą malkontentyzm i demagogicznie podżegają lud do buntu, że bez nich łatwo byłoby uniknąć wszelkich niebezpiecznych wstrząsów. Dziś uchodzi bowiem za aksjomat, że rewolucje wybuchają wtedy, gdy wielkie przemiany zachodzące w życiu społecznym, gospodarczym i kulturalnym narodów wypełniają je nową treścią, a czynniki państwowe starają się powstrzymać przeobrażenia istniejących stosunków, usiłując udaremnić podporządkowanie ich nowym potrzebom. Jednak zwykle zdarza się, że w odpowiednim momencie dziejowym następuje gwałtowne wyładowanie sztucznie poprzednio hamowanych sił społecznych — i to są właśnie rewolucyjne przewroty.

Prawda powyższa odnosi się, naturalnie, również do przyczyn rewolucji 1848 r. Słuszne jest niewątpliwie twierdzenie Karola Marksa, że rewolucję tę wywołał wielki kryzys gospodarczy, który objął w pierwszym rzędzie kraje kontynentu lepiej rozwinięte, dojrzalsze pod względem ekonomicznym. Bezpośrednim powodem eksplozji nagromadzonych wówczas w naszej części świata materiałów palnych był silny, wywołany przez nieurodzaj, kryzys agrarny, który sprowadził klęskę głodu i rozruchy głodowe w Europie środkowej i zachodniej, a jako następstwo kryzys przemysłowy, który przyniósł bezrobocie i nędzę w miastach i dał się we znaki szczególnie krajom bardziej zindustrializowanym, jak Francja, Niemcy zachodnie, Saksonia, Śląsk. Kryzys ten pociągnął za sobą niezwykle doniosłe konsekwencje, ponieważ w łonie europejskich społeczeństw nabrzmiały zasadnicze antagonizmy klasowe, które znalazły ujście w rewolucyjnym wybuchu.

REWOLUCJA 1848 r. A WIELKA REWOLUCJA FRANCUSKA

Rewolucja europejska 1848 r. była wielkim etapem na drodze organicznych przeobrażeń ustrojowych, zapoczątkowanych wielką rewolucją francuską 1789 r. Dokonana w odmiennych warunkach ekonomicznych, przeprowadzona z udziałem nowej, już wyodrębnionej, skrystalizowanej klasy społecznej — proletariatu, była rewolucja 1848 r., choć równie jak tamta burżuazyjno-demokratyczna, rewolucją zarówno polityczną jak i socjalną.



Na placu Michaia w Wiedniu 26 maja 1848 r.

Była ona wydarzeniem międzynarodowym, europejskim, które choć spadło nagle i zaskoczyło w danym momencie nawet swych przywódców, stopniowo dojrzewało w toku starannych długoletnich przygotowań; prowadziły je liczne zakonspirowane organizacje demokratyczne, i to właśnie umożliwiło w lutym i marcu t. r. sprawną mobilizację sił rewolucji na hasło dane z Paryża. Choć już w styczniu nastąpiły pierwsze objawy zaburzeń we Włoszech, hasło wzywające do rewolucji padło niewątpliwie w Paryżu, mieście, które miało za sobą najbogatsze doświadczenia rewolucyjne. Francja stała się ponownie ośrodkiem gigantycznego ruchu, który miał ogarnąć liczne narody. Rewolucja lutowa była wyrazem i dowodem wielkich przeobrażeń, jakie zaszły w Europie w ciągu sześciu dziesiątków lat, dzielących ją od wielkiej rewolucji z końca XVIII w.



Walki uliczne w Paryżu 23 lutego 1848 r.

FRANCJA PRZED REWOLUCJĄ

W chwili szturmu Bastylii była Francja jedynym krajem kontynentu, który miał już dość rozwinięty przemysł kapitalistyczny oraz związaną z nim ściśle burżuazję i robotników. W r. 1848 także inne kraje, zwłaszcza Niemcy, znalazły się na tej drodze rozwoju gospodarczego, ale Francja wyprzedzając tamte, zajmowała nadal przodujące stanowisko. Większą dojrzałość na różnych polach zawdzięczała ona zarówno swoim tradycjom rewolucyjnym, jak sile i ambicjom burżuazji, oraz temu, że posiadała liczniejszy, bardziej uświadomiony i ściślej wyodrębniony proletariat. Klasa robotnicza nie odgrywała współcześnie w żadnym innym kraju tak bardzo samodzielnej roli jak we Francji. Wystąpiła ona w r. 1848 jako samodzielna siła polityczna, która nietylko mogła się stać głównym czynnikiem rewolucji, ale potrafiła wysunąć śmiały postulat społecznej emancypacji czwartego stanu. Proletariat, choć wtedy po raz pierwszy sięgał po władzę, już niejednokrotnie występował na dziejowej arenie Francji. Partycypował on w różnych perypetiach wielkiej rewolucji, bił się odważnie na barykadach lipcowych, i on to walnie przyczynił się do wyzwolenia Francji od rządów burbońskich, opartych na klerze i arystokracji. Choć proletariat brał czynny i wydatny udział w tych wydarzeniach, nie wycisnął na nich swego klasowego piętna. Robotnicy walczyli mężnie i nawet często zwyciężali, lecz nie mając własnego programu, własnej ideologii, nie mogli należycie wyzyskać zwycięstwa i dlatego z ulic wracali do fabryk, do warsztatów.

Po rewolucji lipcowej władzę we Francji ujęła arystokracja finansowa, bankierzy, giełdziarze, częściowo wielcy ziemianie. Żywioły te osiągnęły wówczas cel swych wysiłków, to do czego napróżno dążyły w r. 1789, uchwyciły mianowicie ster rządów Francji. Okres monarchii lipcowej — to złote czasy bogaczów. Warstwy niezamożne usunięte zostały poza nawias życia publicznego. Francją rządził w tym okresie trzos wypchany złotem. Elementy społeczne, które część drogi politycznej w monarchii lipcowej przeszły wspólnie z owymi potentatami, chciały uczestniczyć w korzystaniu z plonów zwycięstwa, lecz doznały gorzkiego zawodu. Te elementy zawiedzione — to burżuazja przemysłowa, która wraz z rozwojem przemysłu nabierała większego znaczenia, oraz drobnomieszczaństwo. Sfery rządzące w poczuciu siły, jaką daje złoto, lekceważyły nastroje ludowe i ociągały się z koncesjami, reformami nie chciały dopuścić chociażby do uważanej za pilną konieczność reformy wyborczej.

REWOLUCJA LUTOWA WE FRANCJI

W tym stanie rzeczy wybuchła rewolucja lutowa. W przeciwieństwie do lipcowej była ona ruchem demokratycznym nawiązującym do wielkiej rewolucji. Część burżuazji dążyła do przywrócenia zaprzepaszczonych zdobyczy tamtej rewolucji. Lecz poza burżuazją, a nawet właściwie przeciw niej wystąpili robotnicy paryscy. Rozpoczęli oni rewolucję wraz z burżuazją, lecz drogi tych dwóch klas szybko się rozeszły. Pod presją robotników skasowano monarchię i proklamowano republikę, proletariat bowiem odrzucał myśl, by król mógł nie być narzędziem w rękach arystokracji i burżuazji, dlatego też dążył on do wydarcia władzy bogatym i stworzenia rządu, który by odpowiadał interesom całego ludu. Gdy trzeba było rozstrzygnąć sprawę reformy ustroju, stworzyć nowy rząd na miejscu absolutyzmu, wysunęły się różne sprzeczne rozwiązania tego problemu. Byli tacy, którzy chcieli zachować monarchię, lecz położyć kres jej nadużyciom, inni głosili, że król powinien być jedynie wykonawcą woli ludu i jego przedstawicieli, jeszcze inni woleli znieść monarchię i zastąpić ją przez republikę, w której władza wykonawcza spoczywałaby w rękach obieralnych urzędników. Wkrótce okazało się, że reforma ustroju państwowego nie jest sprawą najistotniejszą, że chodzi o inne, trudniejsze do rozwiązania problemy. Ważne było mianowicie zniesienie panujących dotąd przywilejów i wprowadzenie równouprawnienia obywatelskiego. Chodziło o to, by rewolucja oparła państwo na szerszej podstawie społecznej. Nie było wszak, że zgody co do tego, jak szeroka ma być ta podstawa. Jedni chcieli przynajmniej częściowo zachować przywileje szlachty starej, inni dążyli do zapewnienia przewagi burżuazji, przy czym brano pod uwagę cenzus tak wysoki jak w czasach Restauracji, albo niższy z okresu monarchii lipcowej, albo wreszcie bardzo niski na wzór tego, który przewidywała konstytucja 1791 r. Najdalej szli demokraci gotowi przyznać pełne prawa obywatelskie wszystkim mężczyznom dorosłym, na wzór konstytucji jakobińskiej 1793 r. Sprawa ta stanowiła przedmiot ostrego ścierania się przeciwnych zdań i poglądów.

Trzecim, również ważnym zagadnieniem były granice władzy państwowej, zakres działania państwa. Pod wpływem modnego wtedy liberalizmu zgadzano się, że prawa jednostki muszą być bezwzględnie zabezpieczone, a gwarancję tego zabezpieczenia widziano w zasadzie podziału władz. Opinia ta zrodziła się jeszcze w czasach absolutyzmu, gdy chodziło o obronę obywatela przed samowolą różnych organów władzy królewskiej. Czy nie należało zastosować jednak innych kryteriów w ujmowaniu stosunku obywatela do państwa skoro rządy miały się znaleźć pod wpływem całego społeczeństwa lub choćby znacznej jego części? Problem ten stawał się przedmiotem różnorodnych wypowiedzi. Powstawały nowe stronnictwa polityczne, broniące interesów określonych grup społecznych, wysuwające własne programy i dążące do najżywszego oddziaływania na opinię publiczną. Poza ugrupowaniami prawicy, które wspierały politykę dworu, istniały też w monarchii lipcowej stronnictwa opozycyjne. Jedno z nich wysuwało skromne postulaty reformatorskie i chciało jedynie powściągnąć absolutystyczne zapędy króla w interesie burżuazji, drugie, demokratyczne, stało zdecydowanie na gruncie teorii Rousseau'a o suwerenności ludu i żądało parlamentu z wyborów powszechnych, który byłby wiernym odbiciem woli całego społeczeństwa: zasadniczo dążyli demokraci do republiki i suwerennej władzy parlamentu. Pod koniec rządów Ludwika Filipa wyrosła inna jeszcze partia, która głosiła, że trzonem narodu jest warstwa tworząca nowe wartości, warstwa produkcyjna, robotnicy przemysłowi, wobec których nieliczni stosunkowo bogacze są bez znaczenia. Dzięki powstaniu robotniczej organizacji mógł proletariat podczas rewolucji lutowej rzucić swą wolę na szalę wypadków.

NIEMCY PRZED REWOLUCJĄ

Podobnie, lecz nieco inaczej zarysowywała się sytuacja w Niemczech. Ustrój kapitalistyczny nie zakorzenił się tam równie głęboko, jak we Francji, przemysł rozwijał się od niedawna i w wolnym tempie, burżuazja była tam zatem mniej liczna, mniej bogata i mniej wpływowa niż w monarchii lipcowej. Gospodarka niemiecka miała charakter przeważnie rolniczy, to też sytuacja szlachty była tam bez porównania pewniejsza i mocniejsza, niż współcześnie na zachód od Renu. Dzięki takiemu układowi stosunków arystokracja niemiecka odgrywała w życiu politycznym i społecznym kraju znaczniejszą rolę i miała większą niż na zachodzie świadomość swych przywilejów. Proletariat wielkomiejski, który we Francji jako szermierz własnych interesów klasowych zdobył sobie pewien autorytet, tutaj był mniej liczny i mniej wyrobiony. Ruch robotniczy w Niemczech znajdował się po r. 1830 dopiero w zaczątkach, lecz jego wodzowie bacznie obserwowali bieg wypadków we Francji i wyciągali trafne wnioski ze swych spostrzeżeń. Na tej zasadzie mogli stwierdzić, że interesy burżuazji nie są identyczne z interesami klasy robotniczej.

Poza tymi przeciwieństwami społecznymi miały Niemcy do rozwiązania inny jeszcze problem, niemniej trudny, szczególnie dla stosunków miejscowych charakterystyczny. Oto, Niemcy nie były krajem jednolitym, scentralizowanym jak Francja, lecz przedstawiały się jako twór luźny, stanowiły związek złożony z trzech tuzinów państw niezależnych, częstokroć względem siebie nieprzyjaznych, a nawet wrogich. Stan ten uważano w Niemczech za czynnik politycznej niemocy, jakoteż gospodarczego niedorozwoju. Stąd wynikało dążenie do zjednoczenia narodowego, do stworzenia jednolitego państwa. Podział terytorialny, zatwierdzony ostatnio na Kongresie Wiedeńskim, odpowiadał jedynie interesom dynastyj i szlachty. Postulat zjednoczenia uznawali wszyscy zwolennicy reform, zwłaszcza burżuazja, która rozumiała, jak wielkie szkody przynosi rozdrobnienie sprawie rozwoju gospodarstwa niemieckiego. Tym bardziej na gruncie tego programu stały wszystkie elementy radykalne: inteligencja, drobnomieszczaństwo, wreszcie robotnicy. Dlatego występowały wówczas w Niemczech dwa różne, czasem zlewające się nurty postępowe: liberalny i unifikacyjny. Radykałowie weszli w kontakt z opozycją postępową krajów przyległych: Francji, Polski, Włoch; żądali usunięcia od steru książąt i szlachty. W miarę konsolidowania się elementów radykalnych, które najznaczniejszą siłę stanowiły w Niemczech południowych i zachodnich, przywódcy radykalni nabierali coraz więcej energii i wiary we własne siły, uznali wreszcie za możliwe opublikować program niemieckiej lewicy. Został on mianowicie podany do wiadomości powszechnej na wielkim zjeździe działaczy lewicowych południowoniemieckich w Offenburgu we wrześniu 1847 r. Program ten obejmował następujące postulaty: wolność sumienia, zrzeszeń, zgromadzeń, powszechne i równe prawo głosowania, milicja z obieralnymi oficerami zamiast wojska stałego, obieralni urzędnicy zamiast dotychczasowej nieodpowiedzialnej

biurokracji, przerzucenie ciężarów państwowych na bogatych przez postępowy podatek od dochodu, sądy przysięgłych dla przestępstw politycznych i prasowych, zniesienie wszelkich przywilejów stanowych, oświata dostępna dla wszystkich. Ten program offenburski, nacechowany liberalizmem, posiadał też pewne rysy demokracji zarówno politycznej, jak społecznej. Żąda odpowiedzialności ministrów przed parlamentem, z drugiej zaś strony stara się uregulować stosunki między kapitałem a pracą. Wysuwa on też postulat zniesienia monarchii, choć w formie niedość kategorycznej; trzeba jednak stwierdzić, że radykałom niemieckim przyświecała idea republiki, ale nie wszyscy się do tego ze względów taktycznych przyznawali. Po ogłoszeniu programu offenburskiego również liberalni przywódcy niemieccy zwołali w październiku zjazd, który wypowiedział się za monarchią konstytucyjną dla całych Niemiec i dla państw poszczególnych Rzeszy. 2 lutego 1848 r. leader radykałów badeńskich Bassermann złożył w miejscowej izbie wniosek o zwołanie parlamentu ogólnoniemieckiego. Z podobnym wnioskiem wystąpił w izbie heskiej Henryk Gagern. Działo się to w przeddzień kryzysu rewolucyjnego, gdy w całej Europie atmosfera naładowana była elektrycznością, a wzburzenie mas zapowiadało zbliżające się wypadki.

WŁOCHY PRZED REWOLUCJĄ

Włochy, analogicznie do Niemiec, od czasów średniowiecza rozbite, podzielone na szereg państw, cierpiące pod biczem absolutyzmu, przy słabym rozwoju gospodarczym i zacofaniu w stosunkach społecznych, odczuwały potrzebę reform liberalnych, demokratyzacji ustroju, zjednoczenia narodowego. Ale najboleśniejszą ich raną była niewola, w jakiej wiły się cenne i bogate prowincje północne: Lombardia i Wenecja, które ulegały przemocy austriackiej, okrutnie rządzone przez bezdusznych biurokratów z Wiednia. Problem wyzwolenia tych części Włoch był najbardziej palącą koniecznością, kwestią honoru narodowego. Patrioci włoscy wypisali na swych sztandarach hasło zrzucenia jarzma habsburskiego, zjednoczenia i konstytucji, nie zdobyli się jednak na wspólny program reform. Lewica, którą do działania pobudzał Mazzini, była słaba i dysponowała nieznacznymi wpływami. Zacofanie ekonomiczne, słaby rozwój przemysłu, ciemnota wśród ludu, urabianego przez potężny kler, wszystko to hamowało postęp. Radykałowie włoscy nie mieli programu reform społecznych. Dlatego rewolucja 1848 r. we Włoszech głosiła hasła wyłącznie narodowe i polityczne.

KRYZYS REWOLUCYJNY W EUROPIE

W takiej atmosferze wybuchła rewolucja lutowa w Paryżu. Wśród krwawych walk na barykadach nastąpiło obalenie tronu Orleanów i proklamowanie Drugiej Republiki. Wypadki silnym echem odbiły się w Europie: ożywienie akcji czartystów w Anglii, ostrzenie kos przez Irlandczyków, zamieszki w Belgii, król holenderski aprobuje nową, bardziej postępową konstytucję, reformy ustrojowe przeprowadza Szwajcaria, w Madrycie wybucha powstanie wojskowe. Najsilniej zareagowała opozycja w Niemczech, doszła bowiem do wniosku, że nadszedł czas działania. Rządy państw Rzeszy nie były przygotowane do walki i bagatelizowały coraz groźniejsze objawy malkontentyzmu i coraz większe wzburzenie mas ludowych. Dlatego musiały one w tych burzliwych dniach marcowych uciec się do koncesyj i obietnic, których nie miały zamiaru dotrzymać. Szybko zawalił się stary gmach absolutyzmu w Wiedniu, Berlinie i mniejszych stolicach niemieckich, zwłaszcza po ucieczce Metternicha głównego rzecznika i obrońcy dawnego zmurszałego ładu.

Sceneria wypadków wszędzie niemal była podobna: walki na barykadach, tłumne wiece z rezolucjami, uroczyste delegacje z petycjami, nowi burżuazyjni ministrowie, a potem — po ogłoszeniu wolności zrzeszeń i słowa — liczne kluby, stowarzyszenia, pisma radykalne, w nich zaś gorące dyskusje, przemówienia, apele. Rewolucjoniści domagali się swobód obywatelskich, następnie ustroju konstytucyjnego, parlamentu, powszechnego głosowania. Były to postulaty burżuazji, która sądziła, że w ten sposób zaspokoi aspiracje mas ludowych. Tylko sporadycznie wysuwano inne żądania, jak np. te, które były ogłoszone jeszcze w 1847 r. w Offenburgu, w marcu r. 1848 z niewielkimi zmianami na wiecu tamże zwołanym powtórzone (dodano wtedy zasadę rozdziału kościoła i państwa oraz szkoły świeckiej).

ROZWÓJ I ZAŁAMANIE REWOLUCJI WE FRANCJI

Proletariat wystąpił na początku jedynie we Francji z własnymi postulatami, z programem budowy nowego ustroju i reform społecznych, jak słynne prawo do pracy Ludwika Blanca i ministerstwo pracy, które miało stać na straży tego prawa. Burżuazja przyjęła zrazu te postulaty, ale nie po to, żeby je realizować. Komisję luksemburską, jej postępowe uchwały (m. in. 10 godz. dzień pracy), warsztaty narodowe — burżuazja tolerowała do stosownej chwili i tylko ze względów taktycznych. Robotnicy łudzili się, że mają w niej szczerego sprzymierzeńca. Nie znali oni jeszcze „Manifestu Komunistycznego", który ukazał się tuż przed rewolucją lutową i wzywał proletariat wszystkich krajów do łączenia się w walce klasowej nie tylko przeciw arystokracji, lecz także przeciw burżuazji, i do stworzenia państwa, odpowiadającego jego własnym interesom. Robotnicy, uwodzeni ideologią socjalizmu utopijnego, nie uświadamiali sobie jeszcze należycie, że dla zrealizowania prawa do pracy niezbędne jest obalenie ustroju kapitalistycznego, wydarcie władzy kapitalistom i ich wywłaszczenie, że wyzwolenie proletariatu musi być dziełem samego proletariatu. Przekonali się o tym robotnicy dopiero w czerwcu, w tych pamiętnych, krwawych dniach walki, gdy burżuazja rzuciła na nich zbrojne falangi żołdaków. Wtedy dopiero ujawnił się w całej pełni głęboki antagonizm klasowy między burżuazją a proletariatem. W walkach czerwcowych proletariat bronił się na barykadach osamotniony. Burżuazja zrzuciwszy maskę przychylności obróciła przeciw znienawidzonym robotnikom, przeciw „czerwonemu widmu" socjalizmu dawnych sprzymierzeńców proletariatu, drobnomieszczaństwo i chłopów. Drobnomieszczaństwu wmówiono, że republika zagrożona jest bankructwem, i to z winy robotników, gdyż zatrudniające ich warsztaty narodowe przynoszą olbrzymie deficyty i że wszystkie niedomagania, na które chłopi się uskarżają, z tego pochodzą źródła. Chłopi nie ukrywali gniewu z powodu wprowadzenia przez rząd tymczasowy wielkiego podatku, który ich głównie swym brzemieniem przytłoczył. Burżuazja twierdziła, że to robotnicy swą lekkomyślną polityką prowadzą kraj w przepaść. Chłopi nie chcieli płacić kosztów rewolucji, ustosunkowali się wrogo do niesprawiedliwej dla nich republiki i dzięki temu stali się narzędziem w rękach burżuazji. Rewolucja 1789 r. na wstępie zdjęła z chłopów ciężary feudalne i odrazu ich tym pozyskała, rewolucja 1848 r. narzuciła im nowy, dotkliwy ciężar i tym ich zraziła. Swą perfidną taktyką wpędziła burżuazja chłopów francuskich w ramiona kontrrewolucji i przyczyniła się poprzez zgromadzenie narodowe, rzeź czerwcową, nową konstytucję i wybory prezydenta republiki do zwycięstwa reakcji, do zaprzepaszczenia osiągnięć rewolucji lutowej.

PERYFERIE REWOLUCYJNE W NIEMCZECH

W analogicznych warunkach załamała się rewolucja w Niemczech. I tam klasa robotnicza zawiodła się na swych sojusznikach. W Austrii, gdzie mozaikowy charakter narodowościowy państwa komplikował sytuację, sfery rządzące najszybciej przeszły do kontrrewolucji, wyzyskując zręcznie antagonizmy narodowościowe i ciemnotę chłopów w niektórych prowincjach. Drogę do zwycięstwa utorowała sobie dynastia Habsburgów przez przeprowadzenie wielkiej reformy agrarnej, uchwalonej w konstytuancie wiedeńskiej. Chłopów zwolniono za jednym zamachem od ciężarów feudalnych; dzięki temu, zaspokojeni w swych interesach a pozbawieni świadomości klasowej, odwrócili się od rewolucji i dali się wprzęgnąć w rydwan absolutyzmu. Robotnicy nie byli dość silni i nadto skupieni głównie w stolicy. Długo bronili swych pozycji, lecz gdy odstąpiło ich tchórzliwe i nieufne drobnomieszczaństwo, ulegli przewadze sił zbrojnych reakcyjnego rządu. Ich ofiarne powstanie październikowe w Wiedniu zostało okrutnie stłumione.

Rząd pruski więcej liczył się z robotnikami, gdyż stanowili oni, szczególnie w uprzemysłowionych prowincjach zachodnich, poważniejszą siłę. Ale i tam nie mogli robotnicy udźwignąć na swych barkach ciężaru rewolucji. Tymczasem burżuazja pruska, której pierwsze poczynania rewolucji w marcu były na rękę, rychło zreflektowała się z obawy, że robotnicy pójdą za daleko. Jej ministrowie przelękli się ruchów masowych i śmiałych robotniczych postulatów, toteż postanowili hamować rozpęd rewolucji. Chłopi pruscy, którzy początkowo dali się unieść zapałowi rewolucyjnemu, zaprzestali robocizn, napadali na dwory i zmuszali dziedziców do zrzekania się przywilejów, wkrótce ostygli i zaniechali współdziałania z proletariatem, gdy berlińskie zgromadzenie narodowe zwlekało z uregulowaniem stosunków rolnych, a nawet odrzuciło projekt zniesienia robocizn. Burżuazja pruska takim postępowaniem zaszkodziła własnym interesom, gdyż zraziła do siebie chłopów i uczyniła ich narzędziem w rękach junkrów, a ci postarali się rozgoryczonych włościan skierować przeciw robotnikom. Odtąd jednym sprzymierzeńcem tych ostatnich było drobnomieszczaństwo, stanowiło ono trzon partii demokratycznej, jej lewe skrzydło tworzył proletariat. Pruska klasa robotnicza wiedziała, że rewolucja miała dotąd w Prusach charakter tylko polityczny i dlatego nic proletariatowi nie przyniosła. Robotnicy wysunęli program reform socjalnych i ekonomicznych, podobnie jak we Francji. Dla poparcia tego programu uciekli się do demonstracyj i strajków, zaczęli się przy tym organizować i rozwinęli ożywioną agitację. Ta bojowa postawa proletariatu skłoniła burżuazję do zupełnej zmiany taktyki. Po zaburzeniach czerwcowych w Berlinie (zdobycie przez tłum arsenału) burżuazja postanowiła rozprawić się z robotnikami i zdecydowanie przeszła do okopów Św. Trójcy, gdzie połączyła się z junkrami. W ten sposób zwyciężyła w Prusach kontrrewolucja, a represje stanu wojennego, oktrojowaną konstytucja i rozwiązanie konstytuanty były wyrazem tego zasadniczego zwrotu.

PRÓBY RATOWANIA REWOLUCJI

Nadzieje rewolucjonistów niemieckich przeniosły się do krajów południowych i zachodnich. Tam sprawa nie była jeszcze stracona. Ruch rewolucyjny niemiecki wyszedł przecież wiosną 1848 r. z tych małych państewek. Chłopi miejscowi, wyzyskiwani przez lichwiarzy, albo jęczący dotąd w pętach feudalizmu, rozumieli, że przewrót społeczny może poprawić ich sytuację, to też przystąpili do akcji, wypędzali dziedziców z dworów i palili księgi czynszowe, lecz rychło po tym zrywie zatrzymali się, gdy junkrzy rozbroili ich chytrymi ustępstwami. Drobnomieszczaństwo południowo-niemieckie było jednak przejęte duchem rewolucyjnym, bardziej niż pruskie i austriackie, dlatego partia demokratyczna miała tam [illegible] pewniejsze oparcie, ale i tam przywódcy [illegible] demokr[illegible] ludowym nie szukali kontaktu z masami [illegible] południu. Nic więc dziwnego, że chłopi na p[illegible] rewolucyjszybko wyładowali się w swych rewolu[illegible] nych zapędach i stracili zaufanie do miejskich radykałów, z tego powodu nie udało się m. in. kwietniowe powstanie w Badenii.

Lecz pomimo zawodów i rozczarowań, pomimo tryumfu sił reakcyjnych w Prusach i Austrii, niemieckie żywioły rewolucyjne nie uległy depresji, nie straciły wiary w swe możliwości. Na obszarach południowych i zachodnich Niemiec, w prowincjach najlepiej gospodarczo rozwiniętych, zmobilizowały się dla obrony zdobyczy rewolucyjnych. Za hasło przyjęły one obronę konstytucji Niemiec zjednoczonych, uchwalonej przez parlament frankfurcki. Konstytucja ta, uznawana za najliberalniejszą Kartę w całych Niemczech, odpowiadała interesom drobnomieszczaństwa, poparła ją również burżuazja i klasa robotnicza. Burżuazja południowo-niemiecka nie była tak wrogo, jak pruska i austriacka nastrojona względem ideologii demokratycznej i dlatego deklarowała wtedy gotowość do obrony Konstytucji frankfurckiej przeciw roszczeniom reakcji. Dla robotników, którymi kierowali członkowie Związku Komunistów z Marksem i Engelsem na czele, konstytucja frankfurcka nie mogła być celem wysiłków, dążyli oni do obalenia rządów feudalnych w Niemczech i ustanowienia republiki demokratycznej. Walkę podjęli robotnicy wspólnie z drobnomieszczaństwem, które na południu było bardziej rewolucyjne, niż w innych częściach Niemiec. Ruch powstańczy zaczął się w Dreźnie na początku maja 1849 r. i w ciągu 2 miesięcy ogarnął Nadrenię, Palatynat, Badenię, wywołał pewien rezonans również w innych ośrodkach, np. we Wrocławiu. Zmagania trwały niedługo, gdyż walczyli tylko robotnicy, i choć okazali wiele męstwa i dzielności, ulegli wobec niedołęstwa przywódców i przewagi regularnych wojsk pruskich, które pośpieszyły ze zbrojną interwencją. I wówczas, jak tylekroć poprzednio, robotnicy samotnie bronili barykad, oportunizm burżuazji oraz małoduszność i chwiejność drobnomieszczaństwa, które zrezygnowały z walki, przyniosły zwycięstwo zespolonym siłom reakcji. Jeśli rewolucja załamała się w najlepiej rozwiniętych gospodarczo krajach kontynentu, to dlatego, że Europa nie weszła jeszcze w fazę likwidacji ustroju kapitalistycznego. Dopiero po rewolucji 1848 r. nastąpił rozkwit wielkokapitalistycznej industrializacji, a w związku z tym wyrosła prawdziwa burżuazja i prawdziwy proletariat przemysłowy, przy czym dwie te klasy wysunęły się na pierwszy plan w strukturze nowoczesnych społeczeństw. Podczas rewolucji 1848 r. starły się one z sobą obnażając wzajemny antagonizm zwłaszcza w Paryżu i kilku innych większych ośrodkach przemysłowych. Robotnicy bili się ambitnie i z poświęceniem, ale najbardziej bohaterska obrona barykad kończyła się ich klęską (Paryż, Wiedeń, Drezno), skoro dowódcy wojsk rządowych mogli polegać na swych żołnierzach. W r. 1849 szanse rewolucji zdecydowanie opadły, odkąd burżuazja a z nią drobnomieszczaństwo zaniechały walki i przerzuciły się na stronę rządów.

IDEA ZJEDNOCZENIA NARODOWEGO

Prócz ideologii demokratycznej w postaci reform politycznych i postępu społecznego wysunęła rewolucja 1848 r. postulat zjednoczenia narodowego w stosunku do krajów poćwiartowanych wskutek dziejowych okoliczności, jak Niemcy, i Włochy, lub wskutek zaborczych operacyj podziałowych, jak Polska. Rozdrobnienie Niemiec i Włoch paraliżowało ich rozwój gospodarczy i osłabiło postęp kulturalny, szkodząc interesom zarówno burżuazji, jak robotników i chłopów. Buntowała się przeciw temu świadomość narodowa Niemców i Włochów, rozbudzona w walkach przeciw najazdowi napoleońskiemu u pierwszych, pod sztandarami Napoleona przeciw Habsburgom u drugich. Wstąpiła też wiara w serca Polaków, którzy przed półwiekiem rozdarci, nie wyrzekli się zarówno utraconej niepodległości, jak narodowego zjednoczenia. Zjednoczenie Niemiec, utworzenie niemieckiej republiki demokratycznej, należało do głównych zadań rewolucji demokratycznej w Niemczech. Próbny ruch unifikacyjny ogarnął Włochy, których część znosiła udręki habsburskiej niewoli, a reszta rzucona była na pastwę partykularnych despotów w Królestwie Obojga Sycylii, Toskanii, Parmie i t. d. Ofiarne wysiłki patriotów tych krajów, działalność parlamentu frankfurckiego w Rzeszy, bohaterski trud „risorgimenta" we Włoszech, desperackie zrywy Polaków, nie przyniosły narazie oczekiwanych plonów, zostały zalane falami tryumfującej kontrrewolucji.

IDEA NARODOWOŚCIOWA W REWOLUCJI

Rewolucja 1848 r. miała jeszcze jeden aspekt, niemniej od powyżej przedstawionych doniosły, nam Polakom szczególnie bliski, aspekt wyzwoleńczy.

Podczas rewolucji uciskane i prześladowane ludy rzuciły wyzwanie w pierwszym rzędzie Austrii. Austria ówczesna była sztucznym konglomeratem kilkunastu niczym z sobą niezwiązanych prowincji, stanowiła pstrą mozaikę narodowościową, w której występowały obok siebie elementy germańskie (w mniejszości), słowiańskie (Polacy, Ukraińcy, Czesi, Słowacy, Chorwaci), romańskie (Włosi, Rumunowie), węgierskie, i słusznie uchodziła za więzienie narodów. Skuta łańcuchami absolutyzmu habsburskiego, rządzona przez bezduszną centralistyczną biurokrację, była metternichowska Austria ostoją wstecznictwa i zacofania. Rewolucja 1848 r. wstrząsnęła tym starym, zmurszałym gmachem państwowym, ale go nie wywróciła. Ambitne żywioły postępowe nieszczęśliwych narodów (a nawet liberalni i demokratyczni Niemcy) rzuciły się na znienawidzony reżim Metternicha, ale nie osiągnęły so[illegible]ści w działaniu, koordynacji wysiłków. Pierwsi wypędzili intruzów z Lombardii i Wenecji Włosi i ogłosili wolną republikę, a król sardyński wsparł swych rodaków zbrojną gwardją. Wkrótce potem upomnieli się o swe prawa Polacy w Galicji, Czesi, Węgrzy. Rząd, choć narazie u podstaw zachwiany, nie stracił gruntu pod nogami, nie uląkł się niebezpieczeństwa. Jął się wypróbowanej skutecznej tradycyjnej taktyki ciemiężców, mianowicie zręcznie podsycił silne narodowościowe i klasowe antagonizmy w poszczególnych krajach koronowych, więc w Galicji ukraińskich chłopów przeciw szlachcie polskiej, w Siedmiogrodzie włościan rumuńskich przeciw węgierskim dziedzicom, w Chorwacji miejscowych chłopów słowiańskich przeciw ziemianom — Niemcom. Po wywołaniu waśni i zatargów rzucił dwór wiedeński na żywioły opozycyjne zbrojne zastępy wojsk regularnych, jakie miał do dyspozycji i przy ich pomocy, uciekając się do okrutnych środków (bombardowanie Krakowa, Pragi, Lwowa) sparaliżował wszelkie ruchy narodowe i po części sprowadził je do parlamentarnego łożyska, a przez to zupełnie unieszkodliwił.

Tylko na Węgrzech w oparciu o patriotycznych chłopów, ruch przybrał wyraźną formę walki zbrojnej o niepodległość. Pełna energii, konsekwentna i niezłomna akcja wyzwoleńcza przybrała tam, szerokie rozmiary i wzbudziła entuzjazm w narodzie, zwłaszcza po ogłoszeniu republiki. Węgrzy poważnie zbłądzili, starając się narzucić supremację Chorwatom, z którymi byli związani węzłami politycznej współpracy, i chcąc zmusić ich do bezwzględnej uległości. Chorwaci zrażeni nieżyczliwym oddawna postępowaniem Węgrów wobec nich i w szczególności nieuznawaniem ich narodowych aspiracji, wpadli w zastawione sidła kontrrewolucji i dali się użyć czynnikom reakcyjnym za ślepe narzędzie w walce w Węgrami.

Poważniejszy charakter miały poczynania Polaków w Księstwie Poznańskim, gdzie społeczeństwo z imponującym udziałem chłopów upomniało się o swe niewygasłe prawo do wolności. Nieoczekiwany zwrot reakcyjny w Berlinie spowodował utopienie zbrojnego ruchu patriotycznego Wielkopolan w morzu krwi przy pomocy żołdaków wiarołomnego króla pruskiego, jako też zionących nienawiścią do wszystkiego co polskie. Niemców miejscowych. W ten sposób spełzł, niestety, na niczem ofiarny wysiłek patriotycznych powstańców Wielkopolski.

TRWAŁE ZDOBYCZE REWOLUCJI

Gigantyczny czyn „Wiosny Ludów" zamknął się opłakanym bilansem i pełne bohaterskiego rozmachu ruchy narodowe, oraz nowatorskie ruchy wyzwoleńcze wyzyskiwanych mas ludowych, zwłaszcza proletariatu zostały przez zagrożone rządy klas posiadających okrutnie zdeptane Uległ zwichnięciu w pierwszym rzędzie socjalny cel rewolucji, co było widoczne i oczywiste już od początku, gdy burżuazja francuska, potem niemiecka, zaskoczone rozpędem rewolucji rzuciły się w ramiona reakcji. Dzięki temu reakcja zwyciężyła w oparciu o własne siły wewnętrzne oraz przy pomocy zdyscyplinowanych wojsk regularnych, które stanęły na jej rozkazy. Królowie bez skrupułów łamali dawane zrazu obietnice, żołdacy rozpędzali parlamenty, poczem następował powrót do smutnego status quo. Marks, a za nim współcześni badacze stwierdzają, że rewolucja upadła, gdyż nie rozwinęła wszystkich swoich możliwości i nie uruchomiła wszystkich swoich sił; mobilizacja i koncentracja ta nie były możliwe w ówczesnej fazie ewolucji gospodarczej, gdy wielki kapitalizm nie dojrzał jeszcze do likwidacji, a związane z nim klasy nie zdążyły się należycie rozwinąć; rewolucja 1848 r., była czynem przedwczesnym i dlatego z góry skazanym na niepowodzenie.

Ten posępny rezultat „Wiosny Ludów" nie powinien przesądzać jej roli i znaczenia w dziejach. Jako wyjątkowo ważne ogniwo w łańcuchu rozwojowym społeczeństw naszego kontynentu, stała się rewolucja 1848 r., etapem w procesie ich dojrzewania, podkreśliła pewne doniosłe i przedtem nie zauważone fakty, a przez śmiałe wysunięcie zawieszonych dotąd w powietrzu problemów przyśpieszyła pomyślne ich rozwiązanie.

Nie wszystkie zdobycze rewolucji przez jej upadek uległy przekreśleniu. Pewne zasady zostały zachowane, stając się niezaprzeczoną własnością społeczeństw, jak: 1) ustrój konstytucyjny, zapoczątkowany w dobie rewolucji przez statut zasadniczy króla sardyńskiego, gdzie niegdzie (Austria) przez kontrrewolucję zawieszony, lecz na krótko, 2) demokratyczny system powszechnego głosowania, 3) zniesienie pańszczyzny i uwłaszczenie chłopów w Austrii. Inne pozytywne następstwa rewolucji uwypukliły się dopiero później, jasno wystąpiły w perspektywie historycznej, a więc dominująca rola burżuazji w drugiej połowie XIX wieku i w zaraniu XX wieku, okrzepnięcie proletariatu i wybicie się tej klasy na czołowe stanowisko przez udział w życiu publicznym, dalej ustawodawstwo pracy, opieka nad klasą producentów. Wielkie zmiany wywołała rewolucja w psychice ludów europejskich. Rozwiała się bezpowrotnie aureola królów z „bożej łaski", a masy ludowe, robotnicy i chłopi, nabrały poczucia własnej siły i gotowości do ponoszenia odpowiedzialności w sprawach publicznych. W konkluzji wolno stwierdzić, że ofiarny trud bojowników postępu z lat 1848—9. nie poszedł na marne i okazał się realnym współczynnikiem triumfu sił demokratycznych w naszych czasach.

Tadeusz Landecki

Stefan Ignar

Przebudowa gospodarcza wsi*)



Stefan Ignar
prezes Zarządu Głównego ZMW RP „Wici"

TEZA PIERWSZA:

Zmiana ustroju gospodarczego w Polsce, a szczególnie nacjonalizacja przemysłu i reforma rolna w połączeniu z planową gospodarką — wyznacza kierunek rozwojowy wsi.

UZASADNIENIE:

Zmiana ustroju gospodarczego w Polsce, jako wynik zwycięstwa warstw pracujących nad kapitalistami w sprzyjających okolicznościach zwycięstwa nad faszyzmem i pod bezpośrednim wpływem ustroju socjalistycznego w Związku Radzieckim, zamknęła marnotrawczy z punktu widzenia narodowego i pasożytniczy ze stanowiska społecznego system produkcji i rozdziału dochodu.

W poprzednim ustroju produkcja była regulowana nie potrzebami i możliwościami narodu, lecz wymogami prywatnych interesów właścicieli zakładów produkcyjnych, występujących zespołowo, w postaci karteli i zmów, a w znaczeniu socjologicznym jako klasa posiadająca. Prywatni właściciele w dużej mierze obcokrajowcy, traktowali Polskę jako teren kolonialnej eksploatacji w zakresie surowców i siły roboczej. Biedna i przeludniona wieś była im potrzebna jako rezerwuar sił roboczych. Kapitaliści nie inwestowali nowych kapitałów w zużywające się zakłady przemysłowe, a nawet same zakłady nieraz niszczyli celem ograniczenia produkcji dla obniżki płac i podwyżki cen. Równocześnie podkopywali byt będącego na ich usługach państwa nie płacąc podatków i korumpując administrację systemem łapówek. Propaganda antykomunistyczna przy wykorzystaniu uczuć religijnych i organizacji kościelnej, jak również fałszywe wychowanie idealistyczne w patriotyźmie typu nacjonalistycznego służyły kapitalistom i obszarnikom do urabiania chłopów i robotników na bezwolne narzędzie. W ten sposób międzynarodowy kapitał stał się dysponentem wszystkich produkcyjnych sił polskich i decydował o losach narodu i państwa. W tych warunkach rozwój gospodarczy Polski był niemożliwy a wieś z roku na rok staczała się coraz bardziej do poziomu najnędzniejszej wegetacji. Nacjonalizacja przemysłu oraz przejęcie przez państwo i spółdzielczość całkowitej dyspozycji w dziedzinie bankowej przecięło wszystkie kanały eksploatacyjne międzynarodowego kapitału. Cały przemysł stał się po raz pierwszy w historii istotnie polski. Celem jego jest produkcja dla zaspokojenia potrzeb narodu. W związku z tym palącą potrzebą stała się rozbudowa i unowocześnienie techniczne w przemyśle. Praca inwestycyjna, jaka jest dokonywana w polskim przemyśle w postaci wkładu wysiłków robotników i pośrednio chłopa, służy dla zaspokojenia potrzeb jednego i drugiego. Energia wkładana w rozbudowę przemysłu, wróci do tych samych ludzi w postaci zwielokrotnionej i przyczyni się do podniesienia stopy życiowej i poziomu kultury całego narodu.

Reforma rolna przeprowadzona według zapowiedzi Manifestu Lipcowego i dekretu wykonawczego z 6 września 1944 r., zakończyła definitywnie pańszczyźniano-kapitalistyczny układ stosunków na wsi i przesunęła wieś od razu do układu całkiem nowego, w którym zniknie wysoka drabina podziału społeczno-ekonomicznego wsi. Potrzebne dla ustroju kapitalistycznego zróżniczkowanie wsi, realizowane wąskimi możliwościami indywidualnego dorobkiewiczostwa i dominacji niewielkiej liczby, bo zaledwie 10% chłopów — wraz z reformą rolna — upada. Reforma rolna przekreśliła nie tylko wielka własność, ale także system wasalstwa i klienteli wewnątrz warstwy chłopskiej. Fakt, że z reformy rolnej skorzystało około 35% ogółu rodzin chłopskich w Polsce posiada niewątpliwie wagę i nie da się zagłuszyć tendencyjnym wyolbrzymianiem defektów i niewidocznych jakoby wyników reformy rolnej. Jedynie słusznym z punktu widzenia ekonomicznego i społecznego jest stanowisko, które polega na dwóch składowych, związanych z sobą częściach, a mianowicie: można i należy szukać niedociągnięć w obecnej strukturze rolnej, ale po stwierdzeniu dziejowego znaczenia reformy zasadniczej, dokonanej przez władzę ludową i społeczeństwo robotniczo-chłopskie.

Reforma rolna przeprowadzona z rewolucyjną szybkością i zdecydowaniem, przekreśliła wszelkie przeszkody strukturalne w rozwoju rolnictwa i stworzyła warunki do nowej organizacji wsi. Mamy więc dopiero pole oczyszczone z chwastów a teraz to pole trzeba obsiać. Jest to zadanie tak samo trudne, jak poprzednie. Różnica polega na stosowaniu innych sposobów organizacji społeczno-ekonomicznej rolnictwa, aniżeli w wywalczeniu i przeprowadzeniu parcelacji. Trzeba stwierdzić, że reforma rolna, dokonana przy bardzo dużym wkładzie energii, a nawet i krwi ze strony robotników, przekreśliła społeczną barierę pomiędzy wsią i miastem. Stworzyło to możliwości planowego gospodarowania opartego na zasadniczej wspólnocie interesów chłopa i robotnika.

Gospodarka planowa uznana powszechnie za konieczną w obecnym okresie rozwoju ekonomicznego, jest możliwa we właściwej formie tylko tam, gdzie została przekreślona nie inicjatywa prywatna, lecz **prywatna dyspozycja** w skali państwowej. Nacjonalizacja przemysłu i reforma rolna stanowią podwaliny gospodarki planowej. O ile jednak gospodarka planowa w znacjonalizowanym przemyśle jest zagadnieniem stosunkowo prostym, to w naszym rolnictwie jest ona dość trudna ze względu na rozproszenie jednostek ekonomicznych, jakie stanowią chłopskie gospodarstwa. Oczywiście na pierwsze miejsce wysuwa się tutaj zagadnienie organizacji, polegającej nie tylko na ujęciu elementów ekonomicznych, ale przede wszystkim na sharmonizowaniu we współpracy ogromnych mas ludzkich, pracujących rodzinnie na małych gospodarstwach, rozrzuconych na olbrzymich przestrzeniach.

TEZA DRUGA

W Związku z potrzebą gospodarki planowej staje się nieaktualny system gospodarowania polegający na całkowitej i wyłącznej indywidualnej dyspozycji właściciela gospodarstwa w zakresie produkcji.

TEZA TRZECIA:

Rolnictwo znalazło się w konieczności sharmonizowania z gospodarką planową w państwie i wykonywania przewidzianych w planie zadań!

UZASADNIENIE:

W polskiej koncepcji ustrojowej, według której organizujemy społeczne gospodarstwo chłopa, nie został potraktowany indywidualny warsztat pracy jako element przestarzały, wsteczny, który w najlepszym wypadku można dzisiaj najwyżej tolerować jako zło konieczne ze względu na niepopularność idei kołchozów. Wręcz przeciwnie, nie tylko ludowcy ale i komuniści uważają chłopskie gospodarstwo za twórczy element nowego ustroju. Marksiści zrewidowali stanowisko swych poprzedników sprzed 40 lat. Został tam przełamany t. zw. „luxemburgizm" czyli pogląd, że chłopskie gospodarstwo jest elementem składowym systemu kapitalistycznego i wraz z nim musi upaść. Jeden z bardzo wybitnych ówczesnych polskich komunistów, Julian Marchlewski, opierając się na tej przesłance, głosił, że należy w rolnictwie utrzymać wielką własność, usuwając tylko prywatnego właściciela. Rozmaity przebieg przeobrażeń agrarnych w różnych krajach w ustroju kapitalistycznym świadczy, że nie zawsze chłopskie gospodarstwo było koniecznym elementem składowym ustroju kapitalistycznego. W stosunkach polskich pauperyzacja chłopów doprowadziła do zbliżenia ich pod względem ekonomicznym do klasy robotniczej. Przy strukturze społecznej Polski byłoby błędem uznać przynajmniej 80 proc. chłopów za element kapitalistyczny i pod względem gospodarczym i ze stanowiska społecznego. Rewolucja nie może dokonywać się w oderwaniu od mas. Duża część masy pracującej — to chłopi. Ich interesy i postulaty musiały być uwzględnione w polskiej rewolucji, jeśli istotnie miała to być ludowa rewolucja. Rewolucja związana jest nie tylko z podłożem ekonomicznym, ale i ze świadomym ideologicznym ruchem mas, dla których i przez które się dokonuje.

Z poprzednich uwag wcale nie wynika, że wzorem gospodarstwa chłopskiego w ustroju demokracji ludowej będzie pozostawione wyłącznie inicjatywie i absolutnej dyspozycji właściciela gospodarstwo chłopskie z epoki kapitalistycznej. Ta dyspozycyjność w rezultacie była korzystna tylko dla gospodarstw największych, podczas, gdy 90 proc. chłopów faktycznie nie miało żadnego wpływu w wolnej grze ekonomicznej. W gospodarce planowej rolnictwo pozornie będzie skrępowane, ale te więzy — to powszechne współdziałanie i powszechny obowiązek coraz wyższej kultury rolnej, a zatem i kultury ogólnej na wsi. Indywidualne gospodarstwo chłopskie w naszym ustroju będzie stawiać zamówienia produkcji przemysłowej i odbierać zamówienie produkcyjne od państwa. Ta metoda zamówień istotna dla gospodarki planowej, może być stosowana tylko sposobem **masowych reprezentacji.** Masową reprezentację chłopów wobec państwa i wobec przemysłu stanowi Związek Samopomocy Chłopskiej. Aby Samopomoc istotnie mogła jako reprezentant przekazywać i odbierać zamówienia musi opierać się na powszechnej i sprawnej organizacji. W ten sposób indywidualne gospodarstwo chłopskie stanie się węzłem w sieci organizacyjnej Związku Samopomocy Chłopskiej i będzie pełnić zupełnie inną funkcję niż w ustroju kapitalistycznym. Przy tym powszechna organizacja rolnictwa nie będzie w sobie nosiła jakiegoś elementu politycznego przymusu. Sami chłopi chętnie wstępują w szeregi Samopomocy Chłopskiej, jak robotnicy do Związków Zawodowych, ponieważ jest to dla nich korzystne. Niedługo zapewne doczekamy się, że wszyscy chłopi znajdą się w szeregach swojej organizacji zawodowo - gospodarczej, a wtedy zdołają w 100 proc. wykonywać plan państwowy jako zamówienie społeczno-ekonomiczne.

TEZA CZWARTA:

Droga do uzgodnienia współpracy z państwem w dziedzinie gospodarki planowej prowadzi poprzez nowoczesną organizację zawodowo-gospodarczą, jaką jest Związek Samopomocy Chłopskiej oraz przez integralną spółdzielczość rolniczą, realizowaną przez spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej.

UZASADNIENIE:

Pierwszą część tezy uzasadniłem w poprzednim punkcie. Tu dodam kilka uwag. Organizację zawodowo - gospodarczą Z. S. Ch. stworzyła istotna potrzeba wynikająca z konieczności powszechnego zorganizowania chłopów dla koordynacji współpracy ich jako rolników z nowoczesnym państwem, które w przeciwieństwie do administracyjnego państwa okresu poprzedniego jest w naszych czasach przede wszystkim **organizatorem i kierownikiem produkcji.** W przeciwieństwie do państwa administracyjnego możnaby je nazwać państwem **ekonomicznym.** Otóż wśród chłopów od dawna nurtowała potrzeba stworzenia powszechnej organizacji zawodowo-gospodarczej. Czołowe kadry radykalnego ruchu chłopskiego przed wojną uważały kółka rolnicze za przeżytą formę organizacji rolnictwa. Była to bowiem organizacja niemal wyłącznie oświatowo-rolnicza, właściwa dla okresu budzenia się potrzeby postępu, a więc w latach 1905—1925. Po roku 1930, kiedy kryzys prześwietlił niedomagania ustrojowe, ludzie którzy zdecydowali się na akcję zmierzającą do obalenia ustroju, wysunęli potrzebę powołania nowej organizacji rolniczej o charakterze uniwersalnym z podkreśleniem momentu zawodowego i ustrojowego. Dla takiego celu powstało wówczas pismo „Chłopskie Życie Gospodarcze", które przeprowadziło kampanię na rzecz chłopskiej organizacji zawodowej przy licznym udziale terenowych działaczy. Z.S.Ch. może się więc wykazać uzasadnieniem dość szerokiej już w poprzednim ustroju akcji chłopskich czynników społecznych, które wyraźnie określiły potrzebę powołania tej organizacji do życia. Z. S. Ch. jest pierwszą w historii zawodową organizacją chłopską, która sprawy chłopskie stawia w płaszczyźnie najważniejszych problemów narodowych.

Spółdzielczość Z. S. Ch. jest nowym etapem w rozwoju spółdzielczości. Tu już nie tylko wzory Rochdale'skie ale i Reiffeisenowskie zostały prześcignięte. Tamta spółdzielczość, to w gruncie rzeczy złudna wiara w wyzwolenie od wyzysku drogą dobrowolnych i dowolnych zabiegów upośledzonych ekonomicznie jednostek. Spółdzielczość tamta głosiła zasadę apolityczności, obiecywała jakieś królestwo spółdzielcze na ziemi, które miało przyjść dlatego, że się o nie modlili apostołowie tejże spółdzielczości. Jednak spółdzielczość solidarystyczna to tylko uzupełnienie niedoborów ustroju kapitalistycznego. Poza tym ograniczała się ona do powierzchownych akcji gospodarczych, szczególnie w dziedzinie kredytowej i spożywczo-wymiennej. Równocześnie spółdzielczość tamta na skutek swej oportunistycznej postawy politycznej służyła różnym formom ustrojowym, a mimo tej służby żadne państwo nie traktowało spółdzielczości jako istotnego elementu strukturalno-ekonomicznego. Spółdzielczość współczesna sięga głębiej. Staje się ona integralnym elementem życia gospodarczego wsi. Wnika do procesu produkcji, jest głównym czynnikiem ekonomiki i organizacji, po drugie występuje wobec państwa, jako jedyny przedstawiciel wsi w dziedzinie gospodarczej. Dlatego też można Spółdzielczość Z. S. Ch. nazwać spółdzielczością integralną, szczególnie po uwzględnieniu jej powszechności. Spółdzielczość Z. S. Ch. winna stać się i już się staje istotnym narzędziem gospodarki planowej, wiązać wysiłki pojedyńczych gospodarstw w państwowym kierownictwie gospodarczym.

TEZA PIĄTA:

Spółdzielczość rolnicza i organizacja zawodowo - gospodarcza winny mieć oparcie polityczne w SL-u i innych partiach bloku, aby sprawy gospodarcze wsi były dostatecznie reprezentowane wobec państwa.

UZASADNIENIE:

Dzisiejsza struktura naszego ustroju wyznacza dużą rolę organizacjom politycznym. Współczesne organizacje polityczne różnią się od partii politycznych systemu liberalnego tym, że najistotniejszym ich zadaniem nie jest jak poprzednio utrzymywanie płynnej równowagi wpływów poszczególnych warstw na administrację państwową, lecz ideologicznie zgodna praca w dziedzinie budownictwa i gospodarki. Tamte partie walczyły o to, aby każda warstwa dawała państwu jak najmniej, spychając to na warstwy inne. Była to walka o przywileje nieróbstwa, właściwa ustrojowi, w którym dziedzina gospodarki pozostawiona była zrzeszeniom kapitalistycznym. Rola partii współczesnej jest wręcz odwrotna. Chodzi jej o to, aby zmobilizować całe reprezentowane przez siebie środowisko społeczne do wydajnej produkcji w ramach planu postawionego przez sejm. W naszym ustroju bowiem wzrost produkcji prowadzi bezpośrednio do podniesienia stopy życiowej i kultury narodu. Sejm współczesny, którego najistotniejszą funkcją jest przepracowanie i ustalenie zasad planowego gospodarowania, musi być powiązany poprzez partie z organizacjami gospodarczymi, aby znał istotne problemy i potrzeby budownictwa i produkcji i żeby mógł określić jak najkorzystniejsze pod względem społeczno - gospodarczym formy prawne. Oparcie polityczne o organizacje polityczne zapewni Z. S. Ch. możność wykorzystania wszystkich zdolnych ludzi twórczych w dziedzinie gospodarczej, czego by nie mógł dokonać prowadząc własną politykę społeczno - państwową i zastępując partię polityczną. Kółka rolnicze, które nie miały ideologicznego związku z określonym ruchem politycznym, stały się narzędziem różnych partii i terenem rozgrywek politycznych. W ustroju demokracji ludowej wszystkie organizacje społeczne muszą być powiązane ideologicznie z organizacjami politycznymi, ponieważ stanowią podbudowę ustroju.

TEZA SZÓSTA:

Organizacje zawodowe i gospodarcze wsi, jak Związek Samopomocy Chłopskiej i spółdzielczość rolnicza winny mieć bazę społeczno - ideową i teren rekrutacji dostatecznie przygotowanych młodych sił ludzkich w organizacjach młodzieży, a więc w ZMW RP „Wici" i innych ideologicznych organizacjach młodzieży oraz PRW.

UZASADNIENIE:

Aby Z. S. Ch. nie starzał się i nie degenerował, musi on korzystać z energii młodzieży nie tylko pod względem fizycznym, zdobywając zdrowych i zdolnych funkcjonariuszy, ale musi on czerpać stamtąd siły społecznie twórcze, bezinteresownie angażujące się do zadań gospodarczych. Aby ułatwić rozwój takich sił wśród młodzieży, Z. S. Ch. musi na tym odcinku prowadzić gospodarkę inwestycyjną, to znaczy popierać i stwarzać możliwości rozwoju organizacji młodzieżowych, jako środowiska kształtującego pionierską energię dla produkcji i budownictwa.

TEZA SIÓDMA:

Istotnym problemem jest przebudowa społeczno - gospodarcza wsi, która będzie polegać na uspołecznieniu narzędzi produkcji, co jest równoważne z możliwością unowocześnienia produkcji rolnej. Nowe środki produkcji w postaci narzędzi, maszyn i instalacji są możliwe do zastosowania tylko sposobem społecznym, ponieważ ich istota techniczna tego wymaga (elektryfikacja, traktory, większe i wydajniejsze maszyny).

UZASADNIENIE:

Poziom techniki i kultury rolnej w Polsce jest dziedzictwem kolonialnego traktowania wsi i oddziaływania kapitalistycznego na zróżnicowanie zaopatrzenia technicznego w zależności od wielkości gospodarstw. Powodowało to pauperyzację ogromnej większości chłopów i z kolei działało hamująco na wprowadzenie ulepszeń technicznych nawet w gospodarstwach większych wobec niesłychanie taniej ludzkiej siły roboczej. Podniesienie poziomu techniki i kultury rolnej może się dokonać nie na drodze współzawodnictwa indywidualnego i eliminacji najmocniejszych ekonomicznie gospodarstw chłopskich, lecz na drodze powszechnego współdziałania. Każdorazowo w historii technika wyznacza formy ustroju gospodarczego. Jeśli wymagania techniczne nie zostaną uwzględnione na gruncie ustrojowym na skutek działania abstrakcyjnych ideologii, ukształtowanych w okresach poprzednich, występuje na gruncie gospodarczym zacofanie i nędza. Dziś stało się powszechnie zrozumiałe, że poziom i formy naszej techniki mogą być wprowadzone do produkcji jedynie systemem społecznym. Jeśli zaś niektóre środki techniczne mogą być nawet przez zamożniejszych prywatnie nabyte, to stają się one narzędziem wyzysku ze strony właściciela, który z rolnika zamienia się w przedsiębiorcę maszynowego, niszcząc możliwości rozwoju gospodarczego swych sąsiadów - klientów. Trzeba stwierdzić, że skłonności do takiej instalacji urządzeń technicznych nie brakuje.

*) Fragment referatu wygłoszonego na konferencji ideologicznej działaczy Zw. W. „Wici" w Dębowej Górze dn. 27/II 48 r.

Jan Aleksander Król

ROGATKI LITERACKIE

1. NA ROGATKACH EUROPA

Na zjeździe pełnomocników powiatowych „Czytelnika" mówił Jerzy Borejsza:... „Są tacy, którzy nie rozumieją, że kultura narodowa może być jedna, i pragnęliby tym rogatkom kulturalnym zapewnić wiecznotrwałość. Mówią o literaturze chłopskiej, literaturze robotniczej, ba, o literaturze rzemieślniczej, maluczko — a zaczną mówić o literaturze aptekarskiej".

W dyskusji, jaka się od roku ciągnie na temat współczesnej literatury w Polsce, St. Żółkiewski do wyliczonych przez Borejszę dodał jeszcze dwie rogatki kulturalne: tradycję poetyki drobnomieszczańskiej trywialności, przerażenia (ekspresjonistycznego) antyrewolucyjnego episjera i „małego realizmu", oraz inteligencką tradycję „próżni psychologicznej". W poezji rodowód socjologiczny awangardy natrafia na francuskie mieszczaństwo z epoki „przerażenia".



Kiosk „Wsi" na zjeździe w Rytwianach służył także miejscowej ludności

Rogatki, jakie wskazał Żółkiewski obejmują inteligencję i mieszczaństwo (ściślej, drobnomieszczaństwo). Różnią się one od wymienionych przez Borejszę po pierwsze tym, że reprezentują **podstawowe środowiska konsumcji literackiej w Polsce.** Można było o nich mówić, a można jeszcze i dziś, jako o faktycznym ośrodku kulturalnej opinii narodowej. Wprawdzie Wat, obliczając je na 30 tysięcy osób przed wojną, przypomina, że „ta warstwa czytelników dziś już nie ma znaczenia — przeważnie wyginęła tragicznie lub została rozproszkowana", ale Kluby Dobrej Książki „Czytelnika" (przy Odrodzeniu i Przekroju) ją właśnie energicznie odbudowują.

Różnią się jeszcze rogatki kulturowe (z wykazu Żółkiewskiego) od wyliczonych przez Borejszę i tym, że choć są lamusem, ale złożonym z broni porzuconej na **głównym szlaku rozwoju literatury** i na **głównym rynku wartości kulturowych** w opinii tego „narodowego" środowiska. W tym jednak sęk, że na wszystkich rogatkach kultury ujrzymy produkty **europejskie i narodowe.** Na rogatce chłopskiej kramik idei i norm estetycznych zapchany był (w „Wiciach", Uniwersytetach Ludowych) „powrotem do natury" Rousseau'a (Europa), biologiczną teorią kultury Bujaka, czy Seweryna (Spencer — Europa) tainowskim estetyzmem ras etnicznych Witkiewicza, powrotem do „plemiennego ducha słowiańszczyzny" Niećki (echo szkół antropogeograficznych od Gobineau i Chamberlaina do...), moralistycznym socjalizmem bezpaństwowym Abramowskiego (z konsekwencjami Demannowskiego psychologizmu), „agraryzmem" Miłkowskiego naładowanym wszystkim po trosze, a reprezentującym politycznie trzecią siłę, siłę drobnego kapitalizmu zielonej międzynarodówki.

Dość wyliczeń. Idzie o znaczenie tych przykładów. Są tak samo europejskie, jak awangarda, jak powieść ekspresjonistyczna i psychologiczna.

„Nie fikcyjne odwracanie się od tematów współczesnych — pisał Żółkiewski — ale konkretne, żywe tradycje **artystyczno-ideowe** powodują, że obraz współczesności w naszej prozie nie ma tej użyteczności społecznej, której byśmy oczekiwali... Nikt chyba nie zaprzeczy, że to tradycje sienkiewiczowskie w naszej literaturze i tradycje jaskrawego ograniczenia realizmu — czy to na rzecz „snu i drwiny" czy to na rzecz „tajemnic jaźni" są tymi najbardziej rzucającymi się w oczy zakałami naszej prozy." Na wszystkich zatem rogatkach kultury sygnalizują „kopytkowe" — obciążenie tradycjami ideologii i systemów językowych nieprzydatnych w olbrzymiej części do tworzenia i wyrażenia nowej kultury Ludowej Polski. Nie widzę powodu do pomniejszania kłopotu, jaki mają mieszczańscy najmłodsi uczniowie awangardy w stosunku do tego, jaki przypadł w udziale chłopskim „autentystom". Jedni są trochę poza „ludową ojczyzną", drudzy trochę przed. **Z obu pozycyj nie wiedzie do niej prosta droga.** I na tym polega zagadnienie.

2. KULTURA W KAWAŁKACH

Jedna kultura narodowa to jest dopiero postulat i zadanie. Wypełnić go inaczej nie można, jak wyprowadzając twórców i konsumentów **ze wszystkich równocześnie gett i rogatek kulturowych.** Ale wyprowadzić to znaczy pamiętać, jakie **swoiste tradycje i opory mają ci twórcy i te środowiska do przezwyciężenia.** Nie bez powodu Borejsza wypowiadał się przeciw rogatkom chłopskim i robotniczym. Nie bez powodu Żółkiewski myśli przede wszystkim o wyzwoleniu rogatek inteligencko-mieszczańskich z ich tradycyj artystyczno-ideowych. W tym bowiem środowisku spełniony jest najpełniej podstawowy, formalny warunek kultury: znajomość spadku kultury przeszłości i przedłużania jej historycznego dorobku we współczesnym doświadczeniu społecznym.

Nie można tego powiedzieć o innych środowiskach. W sprawozdaniu „Wici" z r 1937 ankieta tysiąca Kół na pierwszym miejscu wylicza „Agraryzm" Miłkowskiego i „Kordiana i Chama" Kruczkowskiego. Oto najciekawsze dla młodzieży wiciowej książki. Potem idą: „Historia Chłopów", „Orka na ugorze" (Wiktora), „Listy ze wsi" (Orkana) „Chłopi" (Reymonta), „Droga przez wieś" (Burka), „Placówka" (Prusa). W wyborze tym znać przede wszystkim szkołę wieloletnią organizacji, gusta kierującej góry. Kiedy przeciętnie na bibliotekę wypadło 80 tomów, w tym broszury rozmaitej „maści", z przodownikami, informatorami i kalendarzami włącznie, książki wymienione w ankiecie jako najbardziej poczytne, stanowiły najczęściej główny korpus biblioteczki. Ankieta mówiła dlatego nie tyle o wyborze z szerokiego tła, ile z bardzo wąskiego. Pokrywała się nieomal z całym kapitałem doświadczenia czytelniczego młodzieży. Doświadczenie to zawierało dziką, dezorientującą cząstkę, wyrwaną z całokształtu minionej i współczesnej literatury. Znać na niej piętno klasowości. Wyrasta z tych książek ułomny zarys wiedzy o własnej warstwie, wiedzy spreparowanej przez inne klasy dla klasowego od nich odcięcia wsi. Wyrasta z nich złudne przeświadczenie o własnej kulturze i o prawie, wraz ze zmianą porządku społecznego, do jej upowszechnienia, do jej wystarczalności dla narodu.

Przyjmowanie spadku po kulturze minionych epok odbywa się poprzez szkolną organizację nauczania. Znamy te pióra wtajemniczeń. Szkoła powszechna, gimnazjum, Uniwersytet. Im wyższe, im bardziej humanistyczne tym bogatsza znajomość i związek z dziedzictwem dóbr kulturalnych, a w szczególności w dziedzinie sztuki i literatury.

Tak, ale w strukturze społecznej opartej na walce klaś i klasowej nierówności przekreślone jest powszechne prawo wszystkich obywateli do kultury.

Gimnazja, Uniwersytety, kręgi towarzysko-dyskusyjne, instytucje nauki i sztuki są zmonopolizowane przez klasy uprzywilejowane gospodarczo i politycznie. O tym właśnie mówił Prezydent RP we Wrocławiu. „Kapitalizm, rozwinął wspaniałe środki techniczne, ale skazując masy ludowe na nędzę, na wykolejenie, na ciemnotę, na najniższy poziom bytu materialnego i duchowego — tłumił i hamował w ludziach wzrost potrzeb kulturalnych w oparciu o wielkie zdobycze wiedzy, cywilizacji i kultury... Wynikiem ustroju opartego na przeciwieństwach społecznych był sztuczny i nieosiągalny dla mas ludowych dystans między człowiekiem ciężkiej pracy fizycznej a człowiekiem nauki, kultury i sztuki. Radość życia na wysokim poziomie zdobyczy wiedzy, kultury i sztuki była dostępna dla niewielu wybranych."

Odziedziczyliśmy po kapitaliźmie wyżej opisany stan wyżyn kulturalnych w wąskich liczebnie środowiskach i przepaści wypełnionych rudymentami kultury w podstawowych klasach narodowych. Jest to stan groźny.

Nie możemy zapomnieć, że bodźce, jakie dawał kapitalizm klasie robotniczej i chłopskiej, przez rosnący wyzysk ekonomiczny i poniżenie społeczne, wywoływały odruchy w niemałej części tylko doraźne. Historia Związków Zawodowych mówi wyraźnie, że niepartyjne związki pozbawione były szerszej samowiedzy historycznej, szły na optimum życia robotniczego w strukturze kapitalistycznej, akceptując sam ustrój. Wiemy, że nie mała część ruchu ludowego szła tylko do niespełnionej wiek temu rewolucji burżuazyjnej. Ziemia zabrana folwarkom miała wieńczyć dzieło chłopskiej ambicji. Kultura zatem to nie tylko dopełnienie, nie tylko poszerzenie doświadczenia życiowego o dziedziny wartości duchowych, dających swoistą przyjemność i radość, ale kultura to równocześnie i przede wszystkim siła wyjaśniająca, określająca i mobilizująca do udziału w historycznym zadaniu pokolenia i pokoleń, w historycznym zadaniu klasy i narodu. Dzisiaj, kiedy aparatura państwa, kiedy aparatura rozstrzygających sił społecznych przeszła w ręce ludu, kiedy reformy podstawowe zmieniły prawnie stosunki społeczne i wyznaczyły inny rozwój produkcji i jej organizacji, walka o rzeczywiste obywatelstwo i gospodarzenie mas ludowych musiała się przenieść na procesy gospodarcze i kulturę. Na szachownicy gospodarczej odbywa się wyścig dwóch stylów produkcyjnych. Liberalno-prywatny, przynoszący bezpośredni zysk jednostce, improwizuje sugestywne widowisko dawnych „dobrych czasów" Uderza w zarząd spółdzielni, który przerzuca się pod wpływem jego tradycji na szybkie obroty handlowe, zachęca biletera z PKS-u do manewrowania miejscami dla gości spoza kasy, którzy dopłacą po cichu, zachęca majstra do wsunięcia pod maszynę farbiarską w fabryce państwowej materiału prywatnego przedsiębiorcy. Co sprzyja tej walce o zahamowanie procesu produkcji w nowej jej organizacji a w konsekwencji hamowaniu przemian stosunków społecznych? Oczywiście, fakt istnienia gett i rogatek kulturalnych. Wyposażenie tych gett, ich struktura kulturowa stanowi wyrwany fragment z długiego ciągu narastających tradycji, znaków i wyrazów historycznych przemian. Wykazuje za każdym razem dwie tendencje: 1) do rozwiązywania współczesnych problemów społecznych i jednostkowych przy pomocy tego aparatu narzędzi poznawczych i norm wartościujących, 2) do wyłamywania się z historycznego myślenia o losach własnego pokolenia i własnej klasy.

Tego samego chłopa, który brał udział w strajku rolnym w 1937 r. i przedtem i potem urabiała systematycznie egzegeza plebana, uporczywie odnosząca jego indywidualny i społeczny los do metafizycznych determinant, wychowuje kapitalistyczna tradycja drobnorolnej parceli, wyjaśniająca życie człowieka jako proces zamknięty w świecie indywidualno-moralnych wartości, wychowuje — jak na przykładzie cytowanej ankiety wiciowej — wiara w **istotę chłopskości,** w jakąś statyczną, niezmienną, pozahistoryczną prawidłowość życia wiejskiego. I w najlepszym razie zbijają się ze sobą tylko **fragmenty** przeciwstawnych ciągów kulturalnych. Nacisk warunków ekonomicznych i społecznych rewolucjonizuje niejasno młodzież. Chwyta „Historię chłopów" Świętochowskiego, chwyta „Kordiana i Chama", chwyta „Mroki średniowiecza" i następuje pranie szlachetczyzny i obdzieranie z uroków omnipotencji plebańskiej parafii. Niewątpliwie krok naprzód! Ale krok bez gwarancji co do następnego. Nawet przeciwnie w granicach tego doświadczenia spadku kultury przeszłości już widać, że krok następny będzie źle postawiony. Dwór i plebania, te oczywiste problemy wsi ukazują się w tym fragmencie wejrzenia w historię i kulturę oderwane od szerszych związków i zależności społecznych. Brak tu przekrojów historycznych, narastających faz produkcyjno-społecznych, w których funkcjonuje dwór i plebania. Świętochowski grzmi na szlachtę 18-to wieczną, ale broni jej w XIX wieku. Kruczkowski ukazuje walkę o wyzwolenie z pańszczyzny. Putek mówi o curiosach średniowiecza. A co dalej, co potem? Potem straszliwa wyrwa i rozwiązanie prowadzi do wymiecenia z getta feudalnego dworu i plebanii na rzecz getta piastowsko-słowiańskiej wyłączności. Bo drugie ogniwo: to „Chłopi", to „Placówka", to „Listy ze wsi", to „Agraryzm".

W nędzy chłopskiej widzimy społeczną krzywdę, ale w wiejskim gettcie kulturalnym raczej winę wsi. Niesłusznie! Trzeba i w tym zjawisku dostrzec klasowe upośledzenie, klasowe rozbrojenie z sił rewolucyjnych. I nam kiedy stawiamy przed sobą zadanie upowszechnienia kultury — nie idzie o to, aby **ozdobić** lud kulturą albo żeby dla honoru nowego ustroju, nowych sił społecznych nie uchodzić za utracjuszy dziedzictwa kultury przeszłości. Nam pełnia spadku minionych kultur **jest potrzebna w stopniu, w jakim w żadnej dotąd klasie i epoce nie była ewokowana.** Bo naszym największem zagrożeniem są **te ułamkowe wypady** środowisk dołowych w tradycję kulturową ludzkości. One podtrzymują Wieżę Babel języków i ideologii, one podtrzymują fikcję sprzeczności klasowych między klasą robotniczą, warstwą chłopską i inteligencją. Fikcję odrębności i izolacji środowiskowej.

Jedna kultura narodowa to przede wszystkim znajomość wszystkich pełnego spadku kultury przeszłości. My nie bójmy się obcować twarzą w twarz z Platonem, Dantem, Tomaszem z Akwinu, Schmidtem, Spencerem, Bergsonem. Ale dopiero wszyscy oni kolejno osadzeni w historycznych uwarunkowaniach przestają zagrażać nagłym wykolejeniem dziejów, straszliwym opóźnieniem historycznego rozwoju na określonym etapie techniki produkcji i jej stosunków społecznych. Timeo hominem unius libri, jeśli ta książka nie jest sprawdzona z jakich czasów pochodzi, jakim siłom społecznym służyła, jaki ma związek z rzeczywistymi potrzebami we współczesnym układzie socjalnym. Dlatego Marks, choć starszy od Bergsona w tym pełnym kontekście historii jest reprezentantem nie odchodzących sił społecznych jak Bergson, ale ogniwem tradycji w rodowodzie walk wyzwalających się z kapitalizmu mas ludowych. Pełnia spadku kulturowego to podstawa współczesnej samowiedzy mas ludowych: **od czego, poprzez co, do czego?** Każda bowiem wyrwa w tym dorobku myli krok i podsuwa złe rozwiązania!

3. TWÓRCZOŚĆ W KULTURZE

Fakt istnienia rogatek kulturalnych podtrzymuje jeszcze jeden dramat — w sferze twórczości kulturowej. Nad jego to przezwyciężeniem toczy się od roku dyskusja, acz ograniczona tylko do problemu literatury. Środowisko mieszczańsko-inteligenckie jak dotąd, ma najpełniejszy wgląd w tradycję literacką. Ono dlatego warunkuje postęp formalny literatury. Ale dlatego również dzieje przemian technik artystycznych stały się i nadal pozostają dziejami wewnętrznymi tych tylko środowisk, w rosnącej w ciągu wieku XIX, izolacji społecznej wobec mas narodowych.

Dziedziczenie spadku kultury przeszłości jest zawsze dziedziczeniem w jakimś okresie historii, wybór jego wartości, ich rejestracja, ocena i wyjaśnianie dokonywane są przez klasę formalnie do tego dziedzictwa uzdolnioną, a posiadającą określone jej rozwojem i ostatnią sytuacją doświadczenie społeczne. I to klasowe sytuacyjno-historyczne doświadczenie rozstrzyga ostatecznie o stosunku do dorobku kulturalnego z przeszłości. Dlatego nie tylko w zakresie literatury, ale również w zakresie wychowawczo-oświatowym i społeczno-produkcyjnym doświadczenie środowiska mieszczańsko-inteligenckiego nie daje masom ludowym metod poznania kultury właściwych dla ich drogi rozwoju i dla ich kierunku awansu społecznego.

Na przykładzie literatury wygląda to tak, jak pisał o Francji Roger Vailland: „Mieszczańskie dzieci zbuntowały się wraz z Gidem przeciw tradycji rodzinnej, zachwianej skutkiem pierwszej wojny światowej, małomieszczańscy synowie wraz z surrealistami lub Malraux zbuntowali się przeciw nonsensownym warunkom życia, które stworzył im ginący ustrój. Olbrzymia większość narodu francuskiego nie miała w tych zagadnieniach nic do roboty. Nie czytała ani Gide'a, ani Bretona, ani Cocteau, ani nawet Malraux. Dwaj ostatni wielcy ludowi pisarze francuscy — to Hugo i Zola".

Cały ten szmat historii literatury francuskiej, to walka wewnętrzna między dwoma odłamami klasy rządzącej. Jeszcze jeden fragment z historii kultury, ale żadna teoria dla zrozumienia przez masy tej historii i do działania na jej ostatnim współczesnym etapie.

Żółkiewski, kiedy wylicza elementy poetyki drobno-mieszczańskiej, każdym z nich mimowoli charakteryzuje sytuację historyczną tej klasy. „Drobny realizm" — przerażenie antyrewolucyjnego episjera, trywializm — wszystko to są narzędzia i formy wyrażające ciąg dalszy klasy, wyrwanej z układu kapitalistycznego, ale do niego dostosowanej i z nim związanej. Poetyka „próżni psychologicznej" to znów epilog getta inteligencji.

Powiecie, ale przecież jedni i drudzy pisarze chcą wyjść z tego zamkniętego kręgu. Przecież mieszczaństwo i inteligencja tkwią już teraz w brzuchu Polski Ludowej. Działają na nie nowe warunki społeczne. Tak, ale postęp, tzn. twórczość w literaturze pozostaje w związku zależności od środowiska, które najpełniej dziedziczy spadek kultury przeszłości i zależy od specyficznej tradycji użytkowania spadku kultury przez to środowisko. Nie literatura tworzy kulturę, ale kultura literaturę. Właśnie charakter gett i rogatek kulturalnych środowiska robotniczego, chłopskiego i drobnomieszczańskiego rozstrzygał nie tylko o tym, po jaką tam sięgano literaturę, ale bardziej o tym, że nie sięgano.

Wantuła, syn chłopski, który przez kilkanaście lat był robotnikiem metalowym na Śląsku pisze, że 80 proc. robotników mogło tak jak on odkładać pieniądze, zbudować domek, kupić kawał gruntu, wzmocnić się i częściowo uniezależnić ekonomicznie



Uczniowie chłopskiego gimnazjum ze „Wsią"

od fabryki, mogło tak, jak on gromadzić książki, czytać, oświecać się. A przecież tego nie zrobili przepijając z reguły zarobki. Różnica pozorna. Wantuła nie tylko zbierał białe kruki, sam był w środowisku wiejskim i na tle jego tradycji kulturowych białym krukiem. Ale jego mania bibliofilska (ewangelika) i biblioteczna stanowi tylko odmianę narkozy robotniczej wódki.

W obu tych formach wyraża się to samo: kompensacja złego losu klasowego. Wantuła wyskakuje z torów kulturowych wsi w lepszy świat książek, robotnicy z torów najemnej doli w lepszy na chwilę pijacki świat fantazji. Z tych dwóch dróg ustrój, jako typową, wyznaczał oczywiście tę drugą; dlatego to 80 proc. robotników, którzy mogli, nie posłuchali Wantuły, czy nie porobili analogicznych wynalazków, jak podobnie nie stało się na wsi.

Istnienie bibliotek gminnych nie przesądza jeszcze faktu powszechnego czytania. Są po miastach czytelnie, ale przyjrzyjcie się statystyce czytelników. Ujrzycie, że znako-

mita część młodzieży drobnomieszczańskiej i robotniczej przesiaduje godzinami w drugorzędnych kawiarniach-dancingach, chodzi na mecze i do kina a omija literaturę. Nie ma prostej drogi od posiadanego wolnego czasu i budżetu do literatury. I nie ma prostej drogi do kultury. Na uniwersytetach zobaczycie, że młodzież drobnomieszczańska i chłopsko-robotnicza na humanistyce nie czyta pism literackich, „Myśli Współczesnej", że na prawie studenci czwartego roku nie wiedzą, że istnieje „Państwo i prawo". Ot, jak działają rygory rogatek kulturalnych. Wciąż jeszcze idzie tu o dawny awans społeczny. I głupio i przeciw tym jakże zajadłym ambicjom. Bo dla humanisty to rozszerzone pole widzenia, ta infiltracja współczesnej problematyki literackiej to dopiero warunek, na skok z przysłowiowego belfra co najmniej na figurę w mieście prowincjonalnym, bez której rady, udziału, kierownictwa nic się w sferze życia kulturalnego stać nie może. To dopiero warunek skoku na publicystę, krytyka, naukowca. Ci łapczywi prawnicy chcą się dorwać urzędów, a osły nie rozumieją, że ich ciasne kucie w pocie czoła nie da im szans wyżej nad pozycję diurnisty.

4. POLITYKA I LITERATURA

Droga do nowej literatury wymaga analogicznego etapu jaki wypełnił w swoim czasie okres między Cervantesem i Rabelais'em a Balzakiem. Wyklarowana powieść mieszczańska rozkwitła po dwóch wiekach upartego opanowywania przez mieszczaństwo produkcji, handlu, wejścia w tradycję kulturalną Europy i włączenia własnej samodzielnej twórczości naukowo-artystycznej. Wtedy rewolucja polityczna uwieńczyła panującą ekonomicznie i cywilizacyjnie klasę. Teraz rewolucja polityczna otwiera rogatki przed zapóźnionymi cywilizacyjnie i kulturowo masami ludowymi. Dlatego nie znajdziecie w tej chwili innego mistrza do tworzenia nowej kultury **poza polityklem.** Innego wskaźnika poza politycznym dorobkiem rewolucyjnego ruchu robotniczego i chłopskiego. Nie znaczy to, żeby to było mało. Znaczy tylko, że tak się rzeczy mają.

Powiedzmy, że z pierwszych naszych roczników uniwersyteckich niemała część młodzieży wyjdzie na nijako określoną inteligencję, zmąconą tradycjami getta inteligenckiego i drobnomieszczaństwa. Czy tu będą rozstrzygać się losy Polski? Oczywiście — nie tu. Będziemy oglądać klasę robotniczą krzepnącą w nowej roli, w prawach praktyką lat utwierdzanych. Rozwój przemysłu będzie ją zwiększał, potęgując jej znaczenie i możliwości. Zaczyna się nowy etap powiązań warstwy chłopskiej z robotniczą. Po pierwsze przelew ludnościowy wsi w przemysł. Po drugie jej wychowanie partyjne a to znaczy włączanie się nie tylko w wyższą technicznie i uspołecznioną produkcję, ale z tych pozycji decydowanie o organizacji nadbudowy kulturalnej narodu. Po trzecie zmieniać się będzie wieś w technice i organizacji produkcji. Wyścig pracy dla wymiany dóbr między rolnictwem a przemysłem nabierać będzie coraz więcej cech nie tylko technicznej planowości, ale i uspołecznionej zależności.

Znacie sylwetę kapitalisty. Podstawa ustroju — prywatna własność produkcyjna jemu dawała pewność siebie, jemu otwierała warunki na indywidualizm, jego wychowywała w ostrożności i nieufności do innych ludzi, do społecznego otoczenia, jego skłaniała do zachowania postawy zachowawczej w organizacji społecznej i kulturze.

W tym samym układzie masy robotnicze, rujnowane drobnomieszczaństwo, pauperyzowane i proletaryzowane chłopstwo, tzn. masy narodu, żyły utratą pewności losu i pewności siebie, ale z tego powodu i one chorowały na kompleks nieufności i to najbardziej w stosunku do samych struktur prawno-społecznych, których zmiany zapowiadały zawsze tylko pogorszenie losu. One nie mając wylotu w żadnym punkcie ze swych rogatek kulturalnych, nawet szamocząc się w obroży wyzysku ekonomicznego i społecznego poniżenia wykazywały również skłonności do zachowawczych tradycji społeczno-kulturalnych.

Pierwszy, **podstawowy wylot** z rogatek dał im **ruch polityczny**, ruch rewolucyjny. I na przedłużeniach tego ruchu i jego struktury będzie rosła nowa pewność siebie robotnika i chłopa. Poczucie stabilności życia, zawisłej nie od własnej posiadłości produkcyjnej, a od narodowego jej potencjału, w rękach i pod kontrolą mas pracujących. Perspektywy rolnictwa, przyszłość kulturalna rodziny chłopskiej również wskazują, że tu punkt ciężkości przesunie się na wyższe piętro uspołecznionej gospodarki, bez której tylko sama, prywatna, pozostawiona sobie parcela nie osiągnęłaby więcej ponad to, co dotąd potrafiła. W tych to procesach masowych wytwarzać będzie się nowe doświadczenie społeczne inaczej pozwalające dokonać ze spadku kultury przeszłości wyboru, rejestracji i oceny. Dlatego wcześniej i silniej będzie tu nauczycielem rozwój przemysłu, uspołecznienie handlu, związki branżowe i spółdzielczość produkcyjna na wsi, krzepnięcie instytucjonalne partii, powszechna oświata szkolna, jej rozdymająca się harmonia zawodowych specjalności, wcześniej dosłownie nauczyciel, wcześniej podręcznik zawodowy i podręcznik humanistyczny pisany przez polityka-oświatowca, wcześniej organizacje społeczne i polityczne, wcześniej praca zawodowa ujęta w rygory nowej funkcji polityczno-społecznej, wcześniej prasa i kino, wcześniej stara literatura włączona szkolnie w świadomość ucznia komentarzem ustrojowym niż współczesna, a wcale jeszcze nie nowa literatura.

A co zacznie być czytane przez te nowe awansujące kręgi społeczne? Wat powiada, że największy wpływ społeczny wywiera literatura bynajmniej nie najlepsza, ale właśnie drugo-gatunkowa. To jest słuszna uwaga, ale nie zupełna. Tak się dzieje w warunkach słabego, ułamkowego udziału środowiska w obcowaniu z tradycją kulturalną. Szkolnictwo, świetlice, organizacje, życie zawodowe i polityczne mają zasypać tę przepaść dzielącą masy ludowe od pełnego spadku kultury przeszłości. Ale są jeszcze inne szanse szybkiego zahaczenia się mas ludowych o „dobrą" wysoko-gatunkową literaturę. Wat dowodzi, że Wokulski nie wytrzymuje konkurencji z ordynatem Michorowskim. „Granica" Nałkowskiej z „Kariera Nikodema Dyzmy". To już inny problem właśnie socjologiczny. Kott informuje, że Wokulski dorobił się majątku wynoszącego jedną czwartą wartości rocznej produkcji węgla, albo 1/75 całej wartości produkcji przemysłu włókienniczego. Na to można odpowiedzieć jednym słowem: — bujda! Te szczyty osiągnęli obcokrajowcy, polski stan posiadania pozostał grubo w tyle.

To Prus ozdobił Wokulskiego takim bogactwem i dlatego nie możemy zrozumieć dlaczego arystokracja i p. Izabela go nie chcą. Ale ten sam Kott udowodnił, iż pozytywizm dochował się jako klasy tylko drobnomieszczaństwa polskiego. Prus dlatego na próżno łudzi — drobnomieszczańskiego czytelnika, z następnych dziesięcioleci, kiedy on dobrze poczuł postępujący proces rujnacji jego klasy, na próżno łudzi awansem społecznym na kapitalistę. Przez pracę, obroty spekulacje? — Czytelnik nie widział w rzeczywistości takiej drogi i dlatego książkę odkładał, a brał Mniszkównę, bo bity i tracący grunt pod nogami drobnomieszczuch tu znajdował literaturę **czystej kompensacji**: ideę cudu, skok w marzenie, czyli odskok od rzeczywistości. Gdy Wokulski kazał myśleć o rzeczywistości źle skalkulowanej.

Podobnie z „Granicą". Nie to wysunęłoby ją z rąk ludziom z rogatek robotniczych czy chłopskich, że książka o inteligencji, ale że o sprawach zbyt wewnętrznych inteligencji, bez interesu dla nich. A „Kariera Nikodema Dyzmy" i po tamtej wojnie i po tej mogła elektryzować. Tu było coś ze sztuki życia, z wzoru do awansu.

Dlatego pisarzom naszym można radzić i zalecać, aby przyjrzeli się tym dziedzinom, gdzie awans społeczny i kulturalny mas ludowych zachodzi powszechnie, aby za bohaterów obrali bohaterów typowego, nowego awansu społecznego, nie wyjątkowego. Pozbędą się wówczas próżni psychologicznej, rozleci się im „mały realizm".

Czy proces ten jest łatwy i szybki? Myślę, że ani jedno, ani drugie. Dobre czasy powieści to stan próżnujących gór społecznych, to dno upośledzenia społecznego wsi, drobnomieszczaństwa i robotników z przymusowym bezrobociem i niedobrym pragnieniem kompensacji, którą dawała wódka i dawała książka z życia „wyższych sfer" i „tajemniczych lądów".

Jan Aleksander Król.

Jan Maria Gisges

W I E R S Z E



W MIASTECZKU WYSTAWA OBRAZÓW

Na ścianę zburzonego domu pochylił się wiatr
zmieniając milczenie na szelest afiszem —
musnął oczy przechodnia ze wsi,
sukni czarnej pierwszego dziesięćlecia
dodał linii nasyconego pragnienia,
głowy dotknąwszy znudzonego młodzieńca
opadł jak liść, który zgasł w cieniu.

Stałem opodal, by uczyć się mowy tłumu,
która przyjmowała sensację miasteczka.
Blask słońca afisz wystawy rumienił,
z ruiny domu tworząc korony
zachodzącego upadku ludzkości.
Wyrastał gwar
ponad dachy domostw starych,
na skrzydłach krążących gołębi
jak w źrenicach blask
unosił się promień słońca,
którego tyle, co na łebku szpilki
wpiętej we włosy uczenicy.

Tak przypominam ten dzień, bo był jak kołyska,
z której prawda urosła do legendy bliskiej
sercu memu. Ten dzień był poprostu dziewczyną,
co z licealnej klasy wyszła przed twarz gminu.

Od ścian padają spojrzenia obrazów,
by pokrewieństwem barw odbić w źrenicach
dzieci z powszechnej szkoły.
To światło jak muzyka w wysokich tonacjach
grało,
aby do warg szeptem przylec szczelnie
jak kolorowa bibułka.

W kącie mały syn maszynisty
na pejzażach grał jak na harmonijce,
oczekując na pociąg, który odjedzie
do piękna widzianego oczami artysty.

BUTY I KRZYŻ

Dotykam cię po raz ostatni
wyrostku nędzy i ulicy;
tobie to w dymie walczącej stolicy
przed oczy stanął żywioł — trud bratni?
W twoim marzeniu nie było legendy
wyrosłej ze słów niepracującej matki —
schodziłeś sam w tłum jak do przepaści,
która dawała łzy i kędy
sen był pusty , a chłód obnażał — —

Gazeciarz. Tak przypuszczał każdy.
To było właśnie trzy lata temu,
kiedy do kompanii dołączył
mały chłopak o brzydkiej twarzy...
„wszedł do oddziału..." — tak mówi kronikarz.
Wszedł chłopiec Warszawy,
źle mówię — ruin i popiołów,
w smutek ludzi, co przenikał
odnowienie, jak pył rdzawy
z miażdżonych cokołów
przeciska się w oczy i usta.
W rozżarzonej przestrzeni
wił lotne wieńce beztroskiego wiatru,
plątał radość i uśmiech, gdy w ulicy pustej
strzały zaskrzeczały ochrypłym przypływem.
Na dnie spoczywała kpina i odwaga.

Chłopak nie marzył,
a poszedł wypełnić noc sercem gorejącym,
gdy bracia z kompanii ziemię brali w oczy.
Kapral Halicz złowił trudnym wzrokiem
sylwetkę małą swego gazeciarza —
od drobnej piersi zamachem szerokim
rzut poszedł w czerń — wybuch obnażył
wagony przy gdańskim dworcu. Zmilkło
niemieckie gniazdo cekaemu.
Na przedpolu wybuchy otwierały wysoko
chciwe usta i powracały każdemu
ciężkimi grudami ziemi.
Tędy szedł ciągle ów mały powstaniec,
szedł przed siebie, rzucając granaty,
szedł niewidoczny jak myśl, jak kara,
szedł w myślach żołnierzy krokami małymi,
szedł i nie wracał — bo powrotu nie miał!

Widziano go z rana —
umierał w przedpolu —
w rękach trzymał wypieszczone dziecinne marzenia —
buty! Niemieckie długie buty!
O nich zawsze w gawędach braciom opowiadał
jak zgłodniały o chlebie...
Gdy inni za zasługi chcieli mieć wstążeczki —
Virtuti, Krzyż Walecznych lub śmierć bezbolesną,
on piękność swą widział w takich długich butach — —

Nad miastem wschodzi czci jego gotyk
— nieznany żołnierz —
I słowo nie moje wyraziło ciebie —
jeno drżący mój dotyk.

Sierpień 1947 r.

ANALFABECI

Zaczynam wiersz od tła, od przyrody
tak, jak pieśń ludowa, pieśń gminu —
by potem rzec o przyjściu urody
i myślach dziewczęcych podobnych malinom —

Jesień w powiecie poucza o starości
każdego drzewa, każdej rośliny,
gdy żółte liście spływają
pod stopy ugniatające rozmiękłą glinę
na miedzach i drożynach.
Zapach jedyny koczował
koliskiem mgły w dolinach,
który z wiatru śliską melodią
na gałązkach wierzb wyznaczał
kres, jak ręka milicjanta u rozstajnych dróg.

Zanotuj! Takiej jesieni
czterdziestego siódmego roku
przez wieś do szkoły
szli analfabeci.

Dopiero przeniosła swój wdzięk
jak zwykłą miskę jadła,
jak gaworzenie dzieci
— do świetlicy w Ludowym Domu —
z obory po wieczornym udoju
za nią wsunął się zapach podścioły
i śliska wiatru melodia.
Zajrzała do wierszy,
by od nich odejść do poezji życia.
O! Pod niebem obojętnym w kolorze
jej matka utrudzoną dłonią
na tablicy pisze już
A duże.
Źrenice jak włosy ku niepisanym wierszom się klonią.

Stopnickie, październik 47 r.

William Faulkner

W ZAŚWIATACH

(fragment opowiadania)



William Faulkner

SĘDZIA obejrzał się i spostrzegł młodego człowieka w przedpołudniowym ubraniu, obserwującego wejście z wyrazem uważnym i cierpliwym.

— Pan oczekuje kogoś — zapytał sędzia. Ten obejrzał się. — Tak. Czy pan nie zauważył... Ale pan jej nie zna.

— Kogo?

— Mojej żony. To znaczy, ona nie jest jeszcze moją żoną, ale nasz ślub miał się odbyć w południe.

— Widocznie coś się stało?

— Chyba — młody człowiek spojrzał nań niespokojnie.

— Spóźniłem się. Dlatego jechałem tak szybko. Jakiś malec biegł drogą. Prowadziłem auto pełnym gazem i nie mogłem zahamować. Widocznie uległem katastrofie.

— Ale pan nie przejechał dziecka?!

— Nie. — Młody człowiek spojrzał na sędziego. — Pan jej nie zna?

— A pan czeka tutaj na.... Sędzia przyjrzał się mu uważnie. Miał twardy i przenikliwy wzrok. — Co za bzdura! — powiedział nagle.

— Co? Co pan mówi? zapytał tamten.

Sędzia odwrócił głowę. Skupienie i zdziwienie znikło z jego twarzy. Zamyślił się. Odnosiło się przy tym wrażenie, że obserwował postacie uchodzących. Rzeczywiście przyglądał się im milcząc przez chwilę, ale zaraz potem zwrócił się do młodego człowieka. Ten nie przestawał na niego patrzeć.

— Pan chyba także szuka swojej żony? zapytał. Spodziewam się, że pan ją znajdzie... — mówił ze spokojną rezygnacją. — Wyobrażam sobie, jak musi być to ciężkie w pańskim wieku: czekać na kogoś z kim zdążyło się już zestarzeć. Mój los wydaje się znośniejszym od pańskiego. Gdyby to jeszcze wydarzyło się jutro, rozumie pan... wtedy dzień nie byłby ważny. Ale wówczas chyba nie uległbym katastrofie, ratując tego malca. To tylko ja sobie wyobrażam, że mój los jest straszny. To wręcz niemożliwe, aby był on takim, jakim go sobie wyobrażam. Tak być nie może. Z pewnością i pan odnajdzie swoją żonę.

Usta sędziego drgnęły. — Ja, przybyłem tutaj, aby uciec przed kimś a nie aby kogoś znaleźć.—Przyjrzał się współrozmówcy. Jego twarz była nadal wykrzywiona grymasem, który najprawdopodobniej oznaczał uśmiech.

— Gdybym jednak szukał kogoś, to tym kimś byłby z pewnością mój syn.

— Ach, syn! Rozumiem.

— Tak. On byłby teraz w pańskim wieku. Miał dziesięć lat, kiedy umarł.

— No to niech go pan szuka.

Sędzia roześmiał się. Młody człowiek przyjrzał mu się spokojnie, z zaciekawieniem.

— Nie wydaje się, żeby pan w to wierzył.

Sędzia śmiał się głośno. Potem wyjął pudełko tytoniu, skręcił cienki papieros. Gdy podniósł głowę, młody człowiek obserwował wejście.

Sędzia przestał się śmiać..

— Czy ma pan zapałki? powiedział. Zapytany obejrzał się. Sędzia pokazał mu papieros. Tamten pogrzebał w kieszeniach.

— Nie — znów przyjrzał się sędziemu. Niech pan ich poszuka tutaj.

— Dziękuję — odpowiedział sędzia. Skorzystam później z pańskich rad.

Odszedł, zatrzymał się, obejrzał się za siebie. Młody człowiek nadal czekał przy wejściu. Sędzia przystanął.Wydawało się, że nie może się poruszyć. W tej właśnie chwili Mothershed obrócił się i zauważył go.

— Aa, powiedział.

— Tak—odezwał się sędzia—to ja.—I nagła troska pojawiła się na jego twarzy.—Ja myślałem, że pan nie ży... — Potem tonem ironicznym powiedział: — Ach, rzeczywiście,.

Mothershed patrzył na sędziego. Mothershed był niskim człowiekiem w zaplamionym ubraniu, ze źle zawiązanym krawatem. Miał blade prawie uśpione spojrzenie.

— A więc kazali panu tutaj przyjść?

— To zależy od tego co pan rozumie przez „tu" i przez „nich".

Mothershed zatoczył ręką koło, „to wszystko".

— A, odpowiedział sędzia — jeżeli jestem tam, gdzie być przypuszczam, to nie wiem, czy tu jeszcze istnieję, czy też już nie. Ale pan nie jest z tego świata.

Mothershed gwałtownie zaklął.

— Tak—ciągnął sędzia—nigdy nie przypuszczaliśmy siedząc po południu w moim biurze i rozprawiając na temat Woltera czy Ingersolla, że przybędziemy tutaj pewnego dnia. Pan, ateusz, którego widok dzwonnicy kościelnej wprowadzał w szał i ja, który nigdy nie byłem zdolny przyjąć pańskiej teorii najmniejszego wysiłku, pańskiej milutkiej teorii unicestwienia.

— Najmniejszego wysiłku — zawołał Mothershed i zaczął kląć z nieprawdopodobną wściekłością. Sędzia uśmiechnął się chyba. Ścisnął znowuż papierosa.

— Pan może ma zapałki?

— Słucham?—zapytał Mothershed i patrzył na sędziego z otwartymi ustami. I zaraz potem zaczął grzebać w swoim ubraniu. Wtedy to właśnie nieostrożnym ruchem odsłonił kolbę dużego rewolweru, który nosił za pasem.

— Nie — powiedział — nie mam.

— Szkoda — mruknął sędzia i skierował ironiczne spojrzenie na koniec swego papierosa.—Ale pan nie opowiedział mi jeszcze, co pan tutaj robi. Słyszałem, że pan...

Mothershed znów zaczął kląć. Był teraz wyraźnie wściekły.

— To nie prawda, ja popełniłem samobójstwo,—popatrzył nerwowo na sędziego —przypominam sobie, że wziąłem rewolwer, przypominam sobie mały zimny otwór, który przytknąłem do ucha, przypominam sobie, że pociągnąłem za cyngiel. Myślałem, że w ten sposób ucieknę klechom, bo według nauki kościoła...—obrzucił sędziego obrażonym spojrzeniem.—Ale ja wiem dlaczego pan tu przyszedł. Pan tu przyszedł w poszukiwaniu tego chłopca.

Sędzia spuścił oczy, zacisnął wargi.

— Nie — odpowiedział ze spokojem.

W poszukiwaniu tego chłopca—wymamrotał Mothershed. Agnostycyzm. Pan „nie chce powiedzieć ani tak, ani nie, zanim się pan nie przekona z której strony wieje wiatr. Zawsze jest pan gotów sprzedać się więcej ofiarującemu.

— Nie, powtórzył spokojnie sędzia.

Mothershed śledził go z uwagą.

— Zresztą pański syn ma się tutaj dobrze.

Sędzia raz jeszcze skręcił papierosa.

— Pan z pewnością zauważył tutaj i innych znajomych. Nawet tych, których zna pan tylko z nazwiska.

Aa, powiedział Mothershed — rozumiem teraz. Sędzia robił wrażenie zajętego tylko papierosem.—Może pan się zechce tu rozejrzeć proszę bardzo, niech pan idzie. Wydaje mi się, że pan wyciągnie z tego więcej korzyści, niżeli wyciągnąłem ja. Tym bardziej, że jak sądzę — panu mniej zależy na wiedzy, niż na zdobyciu kilku nowych motywów niepewności. A tych dostarczy każdy z nas w dostatecznej ilości.

— To znaczy, że pan... — Mothershed zaczął ponownie kląć.

— Naturalnie Ingersoll Paine. Wszyscy ci faceci, przy lekturze których straciłem tyle czasu, zamiast siedzieć pod drzewem i grzać się w słońcu.

— Tak— powiedział sędzia — Ingersoll, czyżby?

— Oczywiście. Właśnie siedzi na ławce. W parku. Tam niżej. Na tej samej ławeczce znalazłby pan i tego, który pisał książki z cyklu „Żywoty wzorowych panien". Jeśli go tam nie ma, to chyba tylko przez przypadek.

Sędzia usiadł pochylony do przodu, z łokciami na kolanach z nie:apalonym papierosem między palcami.

— A więc pan także zdecydował się na pobyt tutaj?

Człowiek, którego Mothershed nazwał Ingersollem, obejrzał się. — Zdecydowałem się.

Sędzia nie podnosi oczu.—I pan się z tym zgadza, pan się temu poddaje?—Robił wrażenie pochłoniętego papierosem.— Gdybym mógł tylko Go zobaczyć, z Nim porozmawiać...—Obracał powoli papierosa między palcami. — Być może nadal go poszukuję. Być może szukam go nawet wówczas, kiedy czytam wasze książki: i te Woltera i te Monteskiusza.—Papieros powoli się obracał.

— Miałem zaufanie do was, do waszej szczerości. Mówiłem sobie: jeśli człowiek może znaleźć prawdę — ci będą w liczbie tych, którzy ją znajdą. Kiedyś, gdy byłem pod działaniem cierpienia, które zawsze sprawia świeża rana, powodującego to, że nawet człowiek inteligentny chwyta się wszystkiego, przyszedł mi do głowy absurdalny pomysł. Pan pierwszy z niego będzie drwił, jak ja z siebie drwiłem później. Myślałem, że jest coś poza światem. Rodzaj przedsionka przed wejściem w nicość, gdzie ludzie małoznaczni mogą rozmawiać twarzą w twarz z ludźmi takimi, jak pan, od których mogą usłyszeć: „jest nadzieja" albo „nie ma niczego". Mówiłem sobie, że w tym wypadku nie Jego bym szukał, ale Ingersolla, Paine'a czy Woltera, — obejrzał papierosa.

—.Niech pan wypowie teraz swoje zdanie. Niech pan powie jedno albo drugie. Uwierzę panu.

Zapytany przez chwilę przyglądał się sędziemu.

— Dlaczego ma mi pan wierzyć — powiedział.

Bibułka otaczająca papieros starła się. Sędzia znowu ostrożnie owinął tytoń.

— Widzi pan, miałem syna. To był ostatni naszego nazwiska. Ostatni z naszej rodziny. Po śmierci mojej żony żyliśmy sami, dwoje ludzi w całym domu. To był czcigodny dom. Pan to rozumie. Chciałem, żeby dziecko było wychowane po męsku i żeby było godne nazwiska. Miał on kucyka, na którym jeździł przez cały czas. Mam teraz fotografie ich dwojga, która służy mi do zakładania książek. Często oglądając zdjęcie, wiedząc dobrze, że nie przejadę pod oknami mojej biblioteki mówiłem sobie „takie to nadzieje zawiodły". Kiedyś zatelefonowano do mnie do biura. Znaleziono mego syna, ciągniętego przez kucyka, noga w strzemieniu. Nie dowiedziałem się nigdy: czy to koń go kopnął, czy też chłopiec rozbił sobie głowę spadając—Położył ostrożnie papieros na ławce koło siebie i otworzył teczkę. Wyjął książkę. „Słownik filozoficzny Woltera",—powiedział:—Noszę zawszę tę książkę ze sobą. Czytam dużo. Moje życie jest zupełnie samotne, no bo jestem ostatni z rodziny. A może i z tej racji, że jestem urzędnikiem republikańskim w mieście demokratycznym. Jestem sędzią federalnym w Mississipi. Ojciec mojej żony był także republikaninem. Mnie osobiście wydaje się—dorzucił żywo,—że zasady republikańskie są najlepszymi dla naszego kraju. Pan może w to nie wierzy, ale od 15 lat moim jedynym towarzyszem intelektualnym jest fanatyczny ateusz. Prawie analfabeta, który gardzi logiką, wiedzą, i który budzi we mnie wstręt. Myślałem nieraz, siedząc po południu w swoim gabinecie, że jeśli zwracając mu wiarę, możnaby było dać mu jakieś zdolności, sam podjąłbym się tego zadania.

Wyjął fotografię z książki, pokazał „To był mój syn". Ingersoll spojrzał na zdjęcie, nie ruszając się z miejsca, nie okazując nawet, że chce je wziąć do ręki.

Dziesięcioletni chłopiec siedział na kucyku, patrząc poważnie. — Prawie cały czas spędzał na koniu. Jeździł na nim nawet do kościoła (uczęszczałam tam wtedy regularnie. Chodzę do kościoła kiedy niekiedy i dziś). — Oglądał fotografię w zamyśleniu.

— Po śmierci jego matki nie ożeniłem się powtórnie. Moja matka była chora, słaba. Umiałem ją oszukiwać. Kiedy moje ciotki były nieobecne, potrafiłem wymóc na niej pozwolenie przejścia się boso po ogrodzie, ustawiając na czatach dwóch domowników, którzy mieli mnie uprzedzić o przyjściu ciotek. Wracałem do domu, dumny z tego, że jestem mężczyzną. Dumny aż do chwili, kiedy wchodziłem do pokoju, w którym oczekiwała mię matka. Wiedziałem, że opłacała sekundami swego życia każde ziarnko piasku na moich stopach. Siedzieliśmy jak dwoje dzieci: jedno obok drugiego. Matka trzymała mnie za rękę.

(Ciąg dalszy na str. 9)

Lech Budrecki

O powieści amerykańskiej

Kiedy polscy intelektualiści zaraz po ukończeniu wojny wyjechali do Paryża, wrócili przywożąc już nowe nazwiska. Mówili o wielkiej powieści amerykańskiej (nie rozróżniając jej zupełnie). Pisano o niej, jako o czymś jednolitym, nie dającym się rozłożyć na szkoły i grupy. Przyjęło się już w naszej publicystyce powoływanie się na tę „wspaniałą postępową" beletrystykę. Czytaliśmy artykuły, a nawet i poważniejsze szkice na jej temat. Ostatnio na łamach „Nowin Literackich" słusznie domagał się Zbigniew Bieńkowski przeprowadzenia rozgraniczeń w tym tak szerokim pojęciu, jakim jest „proza amerykańska". Jeśli nie uczyniłem temu zadość w tytule, to tylko dlatego, że będą mówił o tych pisarzach, których kojarzy się u nas w Polsce zawsze z tym terminem, będę mówił o pewnych elementach wspólnych im wszystkim. Pisało się o postępowości amerykańskiej literatury bardzo dużo, nie wyjaśniając czy chodzi tu o Steinbecka czy Hemingwaya czy Faulknera wreszcie, nie usiłując udowadniać, że tak jest naprawdę.

Odpowiadając przed wojną jeszcze na ankietę NRF, debiutujący wówczas Sartre pisał, że za najwybitniejszego współczesnego pisarza, uważa Johna Dos Passosa. Ostatnie numery „Les Temps Modernes" zawierały w całości przekład „Black Boya" Ryszarda Wrighta. W tym samym piśmie J. Pauthan omawia współczesną prozę amerykańską. Henry Miller został ogłoszony wielkim pisarzem nawet przez Gide'a.

Literatura buntu? Owszem, macie rację. To napewno literatura buntu. Ale nie przeciw ściśle określonym warunkom społecznym, lecz przeciw niezmiennej doli człowieczej, postuluje ona tę rewolucję, o której tak wiele pisał Albert Camus. Z „Myszy i ludzi", łatwo odczytać nonsensowność losu ludzkiego, z Faulknera, jego rozpaczliwość. Następcy Iherwood Andersona, Lewisa i Dreisera zerwali z dawną tradycją beletrystyczną, sięgnęli do Joyce'a i do Lawrence'a.

„Idiotyczna pobożność świata, idiotyczna głupota, idiotyczne tchórzostwo, idiotyczna nienawiść do wszystkiego, co nie jest fałszywe, uciemiężone i idiotyczne!" To pisał Tomasz Wolfe. Powtórzyli to za nim i inni. „Być może jesteśmy potępieni i nie ma nadziei dla nas, dla każdego z nas", woła Henry Miller. Wyznania te są jednoznaczne, odsłaniają nam ukryte dotąd przyczyny, dla których prozaicy amerykańscy dzielą swe powodzenie z Kafką. Czyta się ich książki obok „Procesu" i obok „Ameryki". Odkryto bowiem nonsensowność dziejów Joe Wiliamsa („1919", John Dos Passos), odnaleziono piekło współczesnej cywilizacji. Raj utracony Steinbecka leży w małych miasteczkach stanu Monterey. Hemingway odszukuje „prawdziwych" ludzi, wśród torreadorów hiszpańskich. To są dwa pomyślne rozwiązania. Henry Miller widzi bowiem wszędzie ten sam przerażający krajobraz. Istnieje on tak pod zwrotnikiem Raka, jak i Koziorożca. Faulkner opowiadając, najchętniej relacjonuje wypadki poprzez usta idioty Jens, bowiem i następstwo wydarzeniom nadają dopiero ludzie, postępujący w sposób równie śmieszny, jak prokurator podczas oskarżenia Mersaulta (Camus „L'etranger"). Świat jest zbiorem faktów niepowiązanych ze sobą i w znacznej mierze niewytłumaczalnych. Tak brzmi podstawowa teza większości utworów amerykańskiej literatury. Nie dowiemy się nigdy dlaczego zostaje zabity Ole Anderson (Hemingway: „Men without women"). To podstawowa prawda nawet tych pisarzy, którzy, jak Forrel czy Daklbery wyszli bezpośrednio ze szkoły naturalistów.

Henry Miller w „Zwrotniku Koziorożca", pisał, że największym jego przeżyciem była lektura Dostojewskiego. To wyznanie to dobry klucz, i do jego twórczości i do większości dzieł jego przyjaciół i kolegów.

Rys. S. Cieloch

S P R A W Y W S C H O D U

Cholera, Anglia i egipska niepodległość



Gdy przed niedawnym czasem wybuchła nad brzegami Nilu epidemia cholery, zdarzało się często, że ubodzy fellahowie padali na ziemię i wznosili modły błagalne do Allaha. Jakby ten był przyczyną zarazy. Ale Allah jest daleko — a Anglia blisko. Anglia dysponuje rządem i polityką Egiptu — a Allah?... Tylko naiwni wierzą jeszcze, że ma jakikolwiek wpływ na bieg spraw egipskich.

Amerykańsko-polski „Głos Ludowy" zamieścił w trakcie trwania epidemii w Egipcie niewielki artykuł, w którym starał się naświetlić przyczyny — społeczne a nie biologiczne — wybuchu choroby.

Opis był krótki i treściwy. Feudalna wieś, — pod władzą dwóch panów — egipskiego i angielskiego — nędzna, głodna, ciemna i brudna — ludzie — ospali, trawieni sezonowym głodem, w bezmała 90 proc. analfabeci — to bez wątpienia wspaniała pożywka dla cholerycznych mikrobów. Epidemia cholery — stwierdzało wymienione pismo — jest jednym z ogniw w długim łańcuchu „cywilizacyjnych" — wpływów Wielkiej Brytanii na nadnilański kraj.

Długa jest droga wzajemnych stosunków anglo-egipskich. Sięga gdzieś epoki napoleońskiej, potem wlecze się poprzez sprawę Kanału Suezkiego, Sudanu, różnorakich paktów i ugód — po dzień dzisiejszy. Jedna to ze zwykłych historii narodu kolonialnego.

„Anglia czyni z Egiptu kraj, produkujący wyłącznie bawełnę — pisał Lenin — i utrudnia (jego) rozwój przemysłowy".

Do czasów angielskiej okupacji Egipt rozwijał się pomyślnie i można by go nawet porównać do jakiegoś mniej zaawansowanego kraju europejskiego. Inwazja napoleońska — choć niezbyt dla narodu egipskiego przyjemna — podważyła mocno gmach feudalnego ustroju i użyźniła grunt dla kapitalizmu i przemysłu. A tymczasem w ciągu 70-letnich rządów Wielkiej Brytanii nie wybudowano w Egipcie ani jednej fabryki metalurgicznej czy mechanicznej. Skonstruowano wprawdzie projekt hydroelektrycznych turbin przy zalewie asuańskim — ale jakimś dziwnym trafem projekt ten zagubił się gdzieś w wielkiej masie innych niezrealizowanych projektów. Nawet bawełna, produkowana na ziemi egipskiej nie przyczyniła się do rozwoju przemysłu włókienniczego. Mniej więcej do czasów drugiej wojny światowej istniały w Egipcie jedynie 3 fabryki bawełniane. A surowiec płynął do Anglii — tylko że zapłata zań nie zawsze wpływała napowrót do skarbu egipskiego. Dług Anglii za zakupioną w Egipcie, w czasie ostatniej wojny, bawełnę sięgał sumy kilku miliardów dolarów.

I nie tylko bawełna — ale cały bez mała przemysł egipski znalazł się w rękach, bądź pod bezpośrednią kontrolą Anglii.

Wielka Brytania była jednak według praw umów sojusznikiem i opiekunem narodu egipskiego. I czyż jej opieka nie była rzeczywiście wysoce etyczna? Mackbet przecież niszczył swych przeciwników w imię wielkiego ideału nieograniczonego rozwoju „nadczłowieka".

Likwidując samodzielność gospodarczą Egiptu Anglia — bez wątpienia po pewnych targach — przyznała Egiptowi niepodległość polityczną. I to nie raz.

Po raz pierwszy uznała Wielka Brytania niezależność i niepodległość Egiptu w roku 1922 — niepodległość pod opieką Anglii, bez wątpienia. W 1936 roku — w okresie inwazji faszystowskiej na Abisynię — „niezależny" Egipt przyznał Anglii prawo stacjonowania na swoim terytorium angielskich wojsk lądowych, lotniczych i marynarki wojennej—w celu obrony „niezależności" kraju.

Prawnie wszystko było w porządku. Była niezawisłość — i była obrona niezawisłości. Tylko że naród egipski nie chciał się pogodzić z obydwiema zasadami prawnymi. Po uporczywej walce szerokich warstw ludowych Egiptu 1 listopada 1946 roku Anglia po raz wtóry przyznała Egiptowi niepodległość.

Oto punkty i zasady niepodległości:

a) stworzono anglo-egipską radę obrony Egiptu,

b) w wypadku agresji na jedno z sąsiednich państw (w domyśle — kolonii angielskich) Egipt winien natychmiast przystąpić do wojny po stronie Anglii,

c) wojska angielskie będą nadal przebywać na terenie Egiptu do dnia 1 września 1949 roku — w celu obrony spokoju i niezawisłości państwa egipskiego — a w razie konieczności pobyt wojsk może być przedłużony.

Znów wszystko w porządku. Angielska opieka nad „suwerennym" Egiptem.

Tylko, że znów naród egipski nie godzi się na „angielską niepodległość".

I cóż dalej, Mackbecie?

Janusz Lin

Rządy Kuomintangu, za którymi stoją obrońcy feudalnej, do dziś istniejącej jeszcze w Chinach, struktury gospodarczo-społecznej, dla utrzymania się przy władzy uciekły się do „przyjacielskiej" pomocy St. Zjednoczonych. Jest ona im konieczna dla prowadzenia wojny domowej, dla sparaliżowania wyzwoleńczego ruchu ludu chińskiego. Z tej racji Chiny wpadły dziś w długi i wielkie tarapaty finansowe. Sytuacja jest o tyle trudniejsza, że finansjera amerykańska już obecnie każe sobie drogo płacić rządowi nankińskiemu za okazywaną pomoc. Wielu bezstronnych obserwatorów przyznaje, że Chiny kuomintangowskie przeobrażają się szybko w faktyczną kolonię St. Zjednoczonych, rządzoną przez kapitał amerykański.

W tych przekonaniach umacniać może zawarty niedawno między St. Zjednoczonymi a rządem nankińskim „układ przyjaźni, handlu i żeglugi". Zgodnie z oceną jego przez czynniki demokratyczne Chin, kryje on za pięknymi słówkami o „równych prawach" układających się stron, faktyczne przywileje St. Zjednoczonych. Zmieniają się one w wielu wypadkach w prawa eksterytorialności Amerykanów na ziemi chińskiej. „Równe prawa" dla potężnego amerykańskiego kapitału finansowego i słabego, niedorozwiniętego kapitału chińskiego — to w rzeczywistości równość nierównych partnerów.



Pozwólmy mówić faktom samym za siebie. Amerykanie otrzymali prawo inwestowania swoich kapitałów w chińskie przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, oraz prawo zarządzania nimi. W wyniku układu mogą oni nabywać w Chinach ziemię i inne nieruchomości. Umowa poza tym nie dopuszcza ustanawiania protekcyjnych taryf i granic celnych. Organ burżuazji chińskiej, gazeta „Dagunbao" po zawarciu umowy stwierdziła, że podobnie jak nierównoprawny układ z Anglią po „wojnie opiumowej" na przeciąg niemalże stu lat podporządkował Chiny Anglikom, tak obecnie chińsko-amerykańska umowa zagraża poddaniem Chin pod wpływy St. Zjednoczonych, również na dobre sto lat.

„Równe prawa" już obecnie w sposób fatalny odbijają się na przemyśle i na całej ekonomice kuomintangowskich Chin. Przemysł i handel chiński ponoszą coraz więcej strat dzięki konkurencji amerykańskiej. Szanghaj, Pekin, Tien-Tsin i inne miasta chińskie są zapełnione towarami amerykańskimi. Wysokość eksportu Chin stanowi nie więcej nad jedną ósmą importu. Np. w ciągu 5 miesięcy 1947 r. (maj — wrzesień) przybyło do Szanghaju towarów na sumę 228 miliardów dolarów chińskich, a wywóz w tym czasie wynosił ledwie 28 miliardów (Dolar amerykański według oficjalnego kursu równał się wówczas około 2500 dolarów chińskich; na czarnej giełdzie 1 dolar amerykański równał się około 8.000 dolarów chińskich). Jesienią tego roku w Szanghaju, Tien-Tsinie i innych miastach zamknięto dziesiątki fabryk chińskich, które nie wytrzymały konkurencji amerykańskiej.

Nie od rzeczy będzie powiedzieć, że nie tylko Amerykanie, lecz również i Anglicy w miarę swych możliwości dążą do utrzymania i wyzyskania na własną korzyść tego katastrofalnego, ekonomicznego stanu Chin.

Istotnych dążeń amerykańskiego kapitału finansowego w Chinach nie sposób pojąć bez prześledzenia jego politycznej linii w okresie wojny japońsko-chińskiej.

Kiedy Japonia 25 sierpnia 1937 r. nie wypowiadając wojny przystąpiła do blokady wybrzeży Chin, większość Kongresu Stanów Zjednoczonych żądała faktycznej zgody i uznania tej blokady. 14 września rząd amerykański oświadczył, że więcej nie będzie dawał swej gwarancji okrętom udającym się do Chin. Formalnie to oświadczenie odnosiło się również i do Japonii, lecz tylko formalnie. Nie mając bowiem floty wojennej Chiny nie mogły przeszkodzić potokowi materiałów wojennych, które płynęły do Japonii ze Stanów Zjednoczonych. W tym samym czasie, kiedy amerykańska dyplomacja słała do Tokio protesty słowne przeciw działaniom japońskim w Chinach i piętnowała agresję, amerykańscy kapitaliści wysyłali do Japonii broń i materiały wojenne. W ten sposób amerykańska finansjera była uczestnikiem agresji przeciw Chinom.

Jaki więc cel stawiali i nadal stawiają sobie przedstawiciele amerykańskiego imperializmu w Chinach?

Aby na to odpowiedzieć, nie trzeba być nawet zbyt biegłym dyplomatą i politykiem. Celem ich jest utworzenie z Chin obronnej bazy na Wschodzie dla strategicznej, ekonomicznej i politycznej władzy Stanów Zjednoczonych na Oceanie Spokojnym i w Południowo - Wschodniej Azji. Dla osiągnięcia tego celu Stany Zjednoczone gotowe są podtrzymać obecnie reakcyjne rządy Kuomintangu, tworząc z nich własne, posłuszne narzędzie.

Jan Bryczek

„Divide et impera" w praktycznym zastosowaniu



Indie są niepodległe. W niepodległym kraju zginął z rąk faszystów Mahatma Ghandi. A Indiami opiekuje się W. Brytania. Logiczny ciąg faktów.

Ale jeszcze jedno — Indie zostały podzielone na dwa odrębne państwa — Hindustan i Pakistan — a między tymi wielkimi, wielomilionowymi państwami leży kraj o dziwnej nazwie — Kaszmir. Komu jest potrzebna suwerenność małego kraju, a raczej jego maharadży, którego ludność bez żadnego zewnętrznego nacisku ciąży do Hindustanu. Czyżby zagadka?

Obszar Kaszmiru o powierzchni 85 tys. mil kwadratowych zamieszkuje ponad 4 mil. ludności. Kaszmir jest krajem rolniczym (chłopi stanowią 96 proc. ludności) a dzięki swemu położeniu geograficznemu, łagodnemu klimatowi i żyzności jest jedną z najpiękniejszych i potencjalnie najbogatszych dzielnic Indyj.

Niestety, w rzeczywistości Kaszmir słynie z nędzy, chorób i głodu. Ludność tego kraju od przeszło stu lat jest eksploatowana i wyzyskiwana przez maharadżów, którzy rozporządzając absolutną władzą, dochodzą kosztem wyzyskiwanych rolników do legendarnych fortun.

Anglicy dzieląc Indie, zagwarantowali suwerenność maharadży Kaszmiru — Hari Singhowi i mniejszym książętom udzielnym, pozostawiając w ten sposób w Kaszmirze wiernych i chętnych wykonawców swej woli.

Gdy uciskana ludność Kaszmiru składająca się w 80 proc. z mahometan pod wodzą szeika Mohameda Abdullaha zażądała opuszczenia kraju przez Hari Singha — kontynuatora polityki brytyjskiej, maharadża odpowiedział surowymi represjami. Szeik Abdullah i wielu jego zwolenników znalazło się w więzieniu.

Ruch ludowy został zgnieciony. W. Brytania triumfowała.

Wysiłki W. Brytanii szły bowiem w kierunku przyłączenia Kaszmiru do Pakistanu, który był bardziej uległy polityce brytyjskiej niż buntowniczy Hindustan. Posłuszny maharadża dał się łatwo nakłonić do opowiedzenia się za Pakistanem, gdyż w przeciwnym razie groziła mu utrata wszelkich wpływów.

W czasie wewnętrznych walk na teren Kaszmiru wdarły się uzbrojone terrorystyczne bandy pakistańskie — często pod dowództwem oficerów brytyjskich — chcąc nakłonić ludność Kaszmiru do uznania władzy Pakistanu.

Z przeciwnej zaś strony na terytorium Kaszmiru wkroczyły wojska hindustańskie, które po krótkiej walce wyparły wrogie bandy.

W tym stanie rzeczy rząd hindustański, dla uniknięcia poważniejszego konfliktu z Pakistanem przekazał sprawę Kaszmiru Organizacji Narodów Zjednoczonych.

A tymczasem ludność Kaszmiru żyje nadal w nędzy. Wyswobodzony z więzienia Mohamed Abdullah utworzył wprawdzie rząd — ale rząd znajdujący się pod przemożną władzą feudałów. A za feudałami stoi niezmiennie cień W. Brytanii. Nie przeprowadzono żadnych reform rolnych—nie zlikwidowano zacofanego ustroju. Więc efekty są równe zeru.

Sprawa jest niewielka, pozornie mało ważna, idzie przecież o wolność i dobrobyt małego kraju. Ale ważna jest starożytna zasada „divide et impera" — i jeszcze ważniejszy jest angielski system kolonialny.

Na jego ołtarzu warto nawet poświęcić naród. I czyż ten nie powinien być dumny, że ginie dla tak wielkiej sprawy?

Jakub Płachta

Historie chińskie a la America

Różne historie obyczajowe, będące częstym materiałem anegdot, mogą się czasem upolityczniać. Mogą być przekładane na język innego typu anegdoty — anegdoty politycznej. Historia znana. Ciepłe słówka i pomoc w finansowych kłopotach doprowadziły do tego, że czuły i oddany — jak ciągle zresztą o tym zapewniał — przyjaciel stał się rzeczywistym gospodarzem w mieszkaniu jego prawowitego właściciela. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby obecnie historia ta zyskała na nowo swą atrakcyjność — tym razem polityczną. Pokrycie swoje znalazłaby ona w polityce St. Zj. w południowo-wschodniej Azji. Tymczasem podnoszę kwestię gospodarzenia Amerykanów w Chinach.

Proces bez końca

Tokio jest wielkim miastem — a w tym mieście jest wielki gmach trybunału wojennego — w tym zaś wielkim trybunale sądzą wielkich japońskich zbrodniarzy wojennych. Historia tego procesu jak gdyby mimowoli, opowiada się stylem baśni — tak wiele w niej rzeczywiście elementów baśniowych, wręcz nieprawdopodobnych.

Rzecz dzieje się w niespełna trzy lata po rozgromieniu i kapitulacji imperialistycznej Japonii. W stolicy Wschodzącego Słońca mówią: „Japońscy zbrodniarze wojenni umrą bez wątpienia naturalną śmiercią, na długo przed tym, nim międzynarodowy trybunał wojenny wyda na nich wyrok".

Dwóch sądzonych zbrodniarzy — Matsuoka i Nagana — przeniosło się naturalnym trybem rzeczy — do krainy świętych przodków. Dwaj inni — starzy wiekiem i schorowani — pójdą najprawdopodobniej w najkrótszym czasie w ich ślady.

Starcy umierają — a amerykańscy i angielscy sędziowie kontynuują proces, licząc zapewne, że natura wyzwoli ich z ciężkiego zadania ferowania wyroku śmierci na tych, którzy kiedyś zniszczyli Pearl Harbour i tysiące żołnierzy amerykańskich, a dziś stroją się w szaty niewinnych ofiar agresji.

Według oświadczenia przewodniczącego trybunału Webba zużyto już dotychczas ponad 100 ton papieru — i przypuszczać należy, że nie jedna jeszcze tona zostanie zużyta. Generał Mac Arthur liczy być może, że w morzu papieru uda mu się zatopić winę przestępców wojennych, których błąd na tym tylko polegał, że miast na północ, skierowali lufy armat na południe. Ale przecież dzięki nim Stany Zjednoczone wyparły z dalekiego wschodu swego angielskiego sojusznika i partnera. To jest bezwątpienia zasługą wojenną tych, którzy zasiadają na ławie oskarżonych tokijskiego procesu.

Generał Mac Arthur nie tylko mianuje członków trybunału, ale pozwala również — a być może nakazuje — amerykańskim urzędnikom państwowym i oficerom sztabowym występować w charakterze świadków obrony — a adwokatom dostarcza, z archiwów swego sztabu, odciążających materiałów. Dla przykładu: kapitan Blake ze sztabowego biura informacyjnego dwukrotnie zeznawał już przed trybunałem tokijskim na korzyść oskarżonych.

Spróchniały już zapewne kości żołnierzy poległych z rąk Japończyków — i wyschły łzy matek opłakujących synów.

To już zapomniana historia — minęło przecież od końca wojny 2 i pół roku.

I czyż nonsensem było powiedzenie jednego z obrońców, Cunninghama, że trybunał winien w swej działalności kierować się nową polityką rządu USA. Myśl adwokata podjął zasiadający na ławie oskarżonych były premier Tojo. „Dzisiejsza sytuacja światowa w dwa lata po zakończeniu drugiej wojny światowej — świadczy jak ważnymi były owe bariery (przeciw ZSRR—przypisek J. L.) dla pokoju światowego".

Słowa ex premiera przedrukowała australijska „Sydney Morning Herald" in extenso — nie zamieszczając przy tym żadnego komentarza.

Bez komentarza i bez dyskusji stwierdza prasa amerykańska — że demokratyzacja Japonii posuwa się wielkimi krokami naprzód. Bez wątpienia. O ile przez demokratyzację rozumie się ścisłą współpracę monopolistów a zarazem przestępców wojennych Japonii z monopolistami (bez komentarzy) amerykańskimi. W pięknych pałacach przy winie zapewniają amerykańscy przyjaciele swych uprzejmych gospodarzy, że nigdy nie uwierzą oskarżeniom prasy demokratycznej — jakoby ci dumni posiadacze japońskich fabryk zbrojeniowych — hrabiowie i baronowie przeważnie — byli prowokatorami i inicjatorami wojny. Ich przecie sterroryzowała kamaryla wojskowa, nieprawdaż?



Przed niedawnym nawet czasem jeden z czołowych członków trybunału, Keenan wydał wspaniałą ucztę na cześć byłych ministrów i wysokich oficerów japońskich. Przybyli admirałowie Keisuke Ohada, i Mitsumassa Jonaj, ex premier Reijiro Wakatsuki, gen. Karushigi Ugaki — były głównodowodzący kampanią na Korei. Prasa doniosła równocześnie, że Keenan w ciągu kilku dni był obecny na procesie.

Przyjaźń... przyjaźń — bez granic.

A proces trwa — bez końca.

„Opór Amerykanów" — pisał australijski Suday Sun 4.1 br. — „przeciw osadzeniu japońskich bankierów i tajkunów (wysocy urzędnicy japońscy) w więzieniu dał się już zauważyć na początku procesu".

No i cóż? Waszyngton jest zadowolony.

My o tyle, że rozumiemy sens jego polityki.

Stefan Mazurek

Maria Żmigrodzka

Na drogach opowieści ludowej

TRADYCJE LITERATURY DLA LUDU

Kształtowanie się „zamówienia społecznego" na literaturę dla ludu i o ludzie, można uwidocznić tylko na choćby najbardziej schematycznie naszkicowanym tle dziejów szlacheckiej koncepcji oświecenia wsi. Problem oświaty ludowej począł zarysowywać się u schyłku Rzeczypospolitej, gdy konieczność poprawy opłakanej sytuacji ekonomicznej i politycznej kraju, dostarczyła argumentów wywodom Staszica, że szczęśliwość rolnika jest miernikiem szczęśliwości powszechnej. Oczywiście — szlachecki program przewidywał dla szkółek parafialnych nauki „rolnikom przyzwoite", które „fortunom szlacheckim szkodliwe być nie mogą, ale owszem koniecznie potrzebne". W tym kręgu poczęła się formować u schyłku XVIII wieku i w czasach Księstwa czy Królestwa literatura dla ludu, o jednolitym typie umoralniających powiastek lub wskazówek gospodarskich, jak „Magazyn ubogich rzemieślników, służących i wiejskiego stanu ludzi" i pierwsze czasopismo ludowe „Gazeta wiejska". Charakterystycznym jest, że utwory tego typu są przeważnie „trudne", obracające się w kręgu obcych ludowi konwencji językowych, opierane na wzorach zagranicznych, nie przystosowanych należycie do stosunków polskich.

Pewnym postępem w kierunku stworzenia zrozumiałej książki ludowej był niewątpliwie osławiony „Pielgrzym z Dobromila". Szkoła i literatura dla ludu, wmontowane w ramy **kruszącego się systemu feudalnego**, miały odgrywać rolę jego **podpórek.**

W 30 i 40-tych latach XIX wieku doszło do rozbicia dotychczasowej jednolitości funkcji społecznej szkoły i literatury dla ludu. Przejściowa, pełna antynomii epoka romantyczna, zawiły proces likwidowania resztek systemu feudalnego i komplikująca układ stosunków społeczno - gospodarczych sprawa narodowa — wytworzyły jeden z osobliwszych przejawów fermentów ideologicznych tej epoki: szlachecki radykalizm rewolucyjny Towarzystwa Demokratycznego i Stowarzyszenia Ludu Polskiego.

Hasło Towarzystwa Demokratycznego „wszystko dla ludu przez lud", oparte na teoretycznej podstawie mitów zamierzchłego gminowładztwa, złotego wieku ludowego panowania, radykalizm Stowarzyszenia Ludu Polskiego — to przejawy nastrojów drobnej szlachty emigracyjnej, która chwytała się wiary w zbawczą siłę drzemiących mas ludowych i w **koncepcjach ludomańskich** widziała nową religię.

Mimo tej teoretycznej miłości dla nieznanego większości ludu, taktyka obu grup dążyła przede wszystkim do radykalizacji szlachty i duchowieństwa, jako czynników posiadających konkretną możliwość oddziaływania na lud. Czerwone „Pismo dla nauczycieli ludu" ukazujące się wraz z „Pismem dla ludu polskiego" zwracało się do naturalnych nauczycieli wsi — **księży i dziedziców.** Dopiero, gdy obywatel uchyla się od powierzonych mu obowiązków na widownię mogą wystąpić inne czynniki społeczne.

Oświata została tu jednak po raz pierwszy uznana **za oręż w walce ludu o prawa.** Szczytowy moment tych tendencji to rok 1848, pociągający za sobą krótkotrwałe nasilenie akcji oświatowej.

Równolegle ze słabym i oddziaływującym sporadycznie nurtem rewolucyjnym ubiegał się o wpływy na wieś kierunek konserwatywno - klerykalny. Działalność ta uwidoczniła się szczególnie w Poznańskim, gdzie dość wczesne zniesienie pańszczyzny i pogłębiająca się przepaść między pańskim folwarkiem a wsią, otworzyły drogę niemal wyłącznym wpływom kleru. Literatura dewocyjna i moralizatorska starała się nie tylko pogłębić nastroje solidarystyczne, ale gloryfikowała **feudalny patriarchalizm.** Klasyczne przykłady tej literatury przynosiła „Szkoła Niedzielna" wychodząca obok konserwatywnego „Przyjaciela Ludu" i „Kmiotek", atakowany już przez E. Dembowskiego, za to, że „uczy tylko pościć".

W Galicji rozwija się w latach 50-tych typ powiastki moralizatorskiej, chłoszczącej wady chłopów. Satyryczne obrazki księdza Wielogłowskiego, jak „Kuba Jarmarczny", „Franek Pijanica", „Leniwy Bartek", zapowiadają jeden z nurtów późniejszej literatury pozytywistycznej.

Pozytywizm warszawski, produkt dążeń i interesów poszlacheckiej inteligencji, budującej ideologię młodego kapitalizmu polskiego, wyznaczył zagadnieniom oświaty ludowej jedno z zasadniczych miejsc w swym programie społecznym. Odrębność problematyki wsi i odmienne jej funkcje w strukturze społeczeństwa kapitalistycznego uwarunkowały zmiany zarówno w teoretycznych postulatach stawianych literaturze dla ludu, jak i w konkretnej realizacji tych postulatów.

Pozytywizm dążył do rozwiązania problemu wsi w szerokim zakresie: po raz pierwszy zostało sformułowane explicite zamówienie społeczne pod adresem literatury. Starano się choć na drobnym odcinku **rozwiązać sprawę naukowo**, opracowując teorię wzorowego wydawnictwa dla wsi, urządzając konkursy literackie i ankiety, próbując badać czytelnictwo. Pozytywizm wzbogacił niesłychanie dotychczasowy tradycyjny schemat literatury dla ludu.

Dopozytywistyczna literatura ludowa nie wychodziła poza najprostsze wskazówki rolnicze i moralizatorskie opowiadania, jeśli nawet pozbawione intencji dewocyjnych, to nie przekraczające zakresu wskazówek higieniczno - gospodarskich, gromienia wad chłopów i nawoływania do życia cnotliwego.

Rolę dziełek beletrystycznych spełniały niezwykle popularne wydawnictwa Lompy dla Śląska — żywoty świętych, historie o cnotliwych hrabinach: żałosne resztki dworsko - rycerskiej literatury, szerzące w ciężkich warunkach chłopskiego bytowania mit szczęśliwości ustroju **patriarchalno - feudalnego.**

Z OKRUSZYNEK WIEDZY SZCZĘŚLIWOŚĆ POWSZECHNA

Pozytywizm pisarstwo dla ludu uczynił szeroko zakrojoną akcją społeczną; zmieniła się też nieco zasadnicza funkcja literatury oświatowej.

Konieczność intensyfikacji produkcji rolnej stworzyła **bibliteczkę rolniczą**, której dziełka nie miały już charakteru filantropijnych wskazówek dla dobra poczciwego kmiotka, lecz były przejawem poważnie traktowanej akcji, opartej o instytucje, jak kółka rolnicze, odbywające zjazdy, urządzające wystawy itp. Z biegiem czasu oświata rolnicza stała się antidotum na tendencje, zmierzające do reformy rolnej.

Oświata rolnicza wspierana była szeregiem wydawnictw **popularno - naukowych.** Pozytywistyczny kult nauki, wiara, że „wszelkie okruszynki wiedzy wzmagają zasób szczęśliwości powszechnej", były motorem popularyzacji wiedzy, zwłaszcza przyrodniczej, z zaniedbaniem nauk historycznych. Koncepcja tych książek nie odbiegała jednak od „ciekawych i pożytecznych" wiadomości, jakimi karmił swoich czytelników w pierwszej połowie XIX wieku, liczący na klientelę ziemiańsko - inteligencką „Przyjaciel Ludu": — dziwy przyrody i ciekawostki, nagromadzone bez ładu i składu, tłumaczenia zjawisk, które najbardziej uderzają wyobraźnię. „Ciekawe zjawiska w świecie" Promyka, „Skąd się wzięły kamienie na polach" Brzezińskiego — to jeszcze najwartościowsze okazy tej „akcji oświatowej".

W zakresie wydawnictw religijnych, mających dotychczas najszerszy zakres oddziaływania uwidoczniła się najwyraźniej zmieniona sytuacja polityczno-społeczna wsi. Wieś, reprezentująca znaczną siłę polityczną, stała się terenem bogoojczyźnianej agitacji. Dewocyjność ustępuje nieco na ubocze — wydawnictwa religijne forsują obecnie **antysocjalistyczne broszurki:** „Jestem socjalistą", „Albożchlebodawca to wróg?". Popyt na opowieści hagiograficzne, Genowefy i inne cnotliwe hrabiny oczywiście nie osłabł.

Książeczki moralizatorskie nie mają już obecnie charakteru nauk udzielanych z wysoka ciemnej dziczy. Przybierają przekonywującą formę broszurek „Jak uszczęśliwić samego siebie".

Zmieniony układ sił politycznych każe kazanie zastąpić agitacją. Najciekawszym zwierciadłem problemu „pozytywizm i lud" staje się wprowadzana dopiero na wieś **literatura beletrystyczna** dla ludu. Wyróżnia się tu parę charakterystycznych grup.

Żywioł beletrystyczny wysuwa się na pierwszy plan w powiastkach moralizatorskich; beletrystyka poczyna „okraszać" tendencje popularyzatorsko-naukowe:

„Od czasu jak autorzy nasi, a szczególnie autorki pióra swe oddali na użytek maluczkich, mamy mnóstwo powiastek, opowiadań, na tle mniej lub więcej historycznym, geograficznym, społecznym z obfitą porcją obroku duchowego, którego poczciwe chęci są najlepszą okrasą" — pisze w roku 1897 sprawozdawca „Ateneum".

Drugi typ to literatura **streszczeń i skrótów** — kuchenna wersja inteligenckiej „literatury pięknej".

U podstaw tych praktyk upowszechniających leży nie tylko koncepcja niższości kulturalnej chłopa, koncepcja literatury „dla ludu i młodzieży", lecz także wywoływane narodowymi interesami inteligencji i jej solidarystycznymi tendencjami dążenie do stworzenia **platformy porozumienia kulturalnego.** Powieść w skrócie z obfitą porcją obroku duchowego miała umożliwić ludowi przeżywanie ogólnonarodowych treści kulturalnych.

Oto kilka charakterystycznych przykładów pozytywistycznych przeróbek: „Placówka" („O ojcowiznę, czyli jak sobie jeden chłop z Niemcami poradził"), „Chata za wsią" („Cygańskie dziecko"), „Dziurdziowie" („Czarownica"), „Niziny" („Chłopski adwokat") i wiele innych. Wielka literatura pozytywistyczna nie docierała na wieś w swej oryginalnej postaci. Pozytywizm rozdzielał funkcje literatury inteligenckiej — artystyczne i poznawcze od dydaktycznych funkcji literatury ludowej. Literatura o ludzie miała dostarczyć danych do społecznego planowania — literatura dla ludu miała być praktycznym wnioskiem postulowanej jeszcze przez Heltmana „umiejętności ludu". Chmielowski ostrzegał przed mieszaniem funkcji: „Michałko" Prusa nie będzie należycie zrozumiany przez lud — chłopi mogą nie dojrzeć w nim niczego więcej, poza typem wiejskiego głupka. Należy uwyraźnić, zaopatrzyć dydaktycznym komentarzem.

Wzrost ruchu ludowego, powstawanie sieci spółek i spółdzielni chłopskich, ogólnie ujemna ocena poziomu artystycznego dotychczasowej literatury dla maluczkich, wywołują w pierwszych latach XX wieku protest przeciw tworzeniu drugorzędnych systemów kulturowych ad usum populi. Głosi się konieczność upowszechnienia literatury inteligenckiej. Od roku 1907 nakładem Gebethnera i Wolffa ukazują się serie niedużych książeczek pod nazwą **Biblioteczki Uniwersytetów Ludowych.** Tanie, seryjne wydawnictwa rozchodzą się dość szeroko. Literatura szerszym korytem wtargnęła na wieś — prym wiodła tu **pozytywistyczna nowela.**

SPOŁECZNA FUNKCJA NOWELI

Nowela była oddawna jednym z najbardziej zagadkowych gatunków literackich. Proteuszowa zmienność tej formy rodzajowej udaremniała próby stworzenia teorii noweli, opartej na wyznacznikach formalnych. Co łączy Boccaccia z E.T.A. Hoffmanem, Maupassanta z Gorkim? Nie stworzyli teorii przekonywującej i obejmującej wszystkie odmiany gatunku romantycy niemieccy i formaliści rosyjscy. W Polsce usiłowania prof. Kucharskiego czy prof. Szweykowskiego pociągnęły za sobą konieczność ograniczenia zakresu pojęcia. Tylko **kryterium funkcji** dopomoże do wyznaczenia rodzaju.

Nowela w swej długiej i pełnej przygód wędrówce historycznej najściślej związana była z mieszczaństwem; nie pozostała jednak obca i innym kręgom kulturalnym dzięki swej specyficznej własności gatunkowej. Nowela wyrasta bezpośrednio z wszelkich form **żywej ustnej narracji** — nierozerwalnie związana jest z takimi formami jak gadka, opowieść, anegdota, facecja. Dzięki temu wątki nowelistyczne niezmiernie szybko przekraczały granice środowiskowe, dostępowały awansu społecznego lub degradowały się do historyjek, krążących po jarmarkach czy odpustach. Lud, żyjący w kręgu kultury przedpiśmiennej najżywiej i najłatwiej percypował nowelę. Nowelę pozytywistyczną charakteryzował **związek z publicystyką** tego okresu; spełniała ona niejednokrotnie funkcje artykułu publicystycznego. Była najczulszym rezonatorem prądów owego czasu. Summa polskiego pozytywizmu to właśnie zbiorek pozytywistycznych nowel.

Na początku XX wieku, a zwłaszcza w okresie 20-lecia międzywojennego, szczytowe osiągnięcia nowelistyki polskiej zdobyły czytelnika wiejskiego, poczęły kształtować postawę społeczną młodego pokolenia chłopów.

CZEGO UCZY NOWELA POZYTYWISTYCZNA?

Bojowe lata pozytywizmu polskiego, jego zachwyt dla postępu i techniki, oszołomienie tempem przemian świata, podziw dla twórczego rozpędu kapitalizmu, to okres 1870—80.

W latach 80-tych mamy do czynienia ze zjawiskiem znanym w historii literatury, jako „załamanie się pozytywizmu". Wiara w zbawienne skutki rozwoju przemysłu i cywilizacji technicznej została zachwiana. Przygnębiająca rzeczywistość narzucała się z tym większą siłę. Wielcy realiści pozytywizmu polskiego fałszować rzeczywistości nie mogli i nie chcieli. W publicystyce poczęto bronić się przed zjawiskiem określanym jako pesymizm. Chmielowski argumentuje przeciw zbyt czarnym opisom nędzy: gdyby było tak źle, jak się to powszechnie utrzymuje, społeczeństwo nie istniałoby — że jednak dotąd jakoś istnieje, więc nie musi chyba być tak źle. Krzemiński protestuje przeciw zbyt czarnym barwom, użytym ponoć przez Sienkiewicza w „Szkicach węglem": „Nie wierzymy, aby tacy Zołzikiewicze mogli do tak głębokiego zepsucia lud przywieść... Nie! Nie!" Oskarżanie nowelistyki pozytywistycznej o pesymizm nie było słuszne. Nowela tego okresu jest w całości poszukiwaniem dróg ratunku — znajdowano też najrozmaitsze. Może najsłuszniejszym jest ten zarzut w odniesieniu do twórczości Konopnickiej. Doskonała, niedoceniona dotychczas nowelistyka Konopnickiej zdaje się dostrzegać najwięcej rozpaczliwych spraw świata. „Dym", „Martwa natura", "Urbanowa" i wiele innych ponurych migawek z życia biedoty — to jednak nie ostateczny wydźwięk jej twórczości. Sprawa narodowa — „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz" — wywołuje nieoczekiwane akcenty wiary w „Głupim Franku", przyćmiewa jasny obraz rzeczywistości.

Natomiast Orzeszkowa, Prus, Sienkiewicz, reprezentują w swej nowelistyce cały rejestr możliwych wówczas „poprawek" systemu kapitalistycznego.

Oddziaływanie noweli pozytywistycznej w tym duchu umacniało wydatnie ideologię kształtującego się w okresie 20l-ecia międzywojennego, ruchu ludowego.

Można te dwie ideologie rozpatrywać paralelnie. Dla każdego z ważniejszych haseł noweli pozytywistycznej znajdziemy natychmiast pokrycie w nastrojach i ideach wiciarzy lub innych przodowników wiejskich z okresu 20-lecia, wyłamujących się mozolnie z beznadziejności chłopskiego bytowania i ograniczonych horyzontów społeczności lokalno-sąsiedzkiej. **Nie sugeruję oczywiście stosunku wynikania: oba zjawiska są różnorodne; stwierdzam jedynie zbieżności i dalsze wspólne już oddziaływanie w określonym kierunku.**

a) „...żeby chleb odrazu bochenkami rósł na zagonie..."

Pozytywizm wzrósł w kręgu wiary w naukę, w kręgu comte'owskiego ideału wiedzy, która pozwala przewidywać, kształtować stosunki wedle woli człowieka. Naukowe utopie pozytywizmu kreśliły obraz świata przyszłości, w którym nauka rozwiąże wszystkie konflikty i antynomie świata stosunków ludzkich. Wiedza to nadzieja na jasną przyszłość ludzkości. Ciemnota to źródło nieszczęść i zbrodni. „Antek", „A. B. C.", „Powracająca fala", „Szkice węglem" — to dokumenty pozytywistycznej idei walki z ciemnotą. Prus kreślił obraz pracy krzewicieli oświaty w swoich „Cieniach": — „W pomroce życia, gdzie po omacku błądzi nieszczesny rodzaj ludzki, gdzie jedni rozbijają się o zawody, inni spadają w otchłań, a pewnej drogi nikt nie zna, gdzie na skrępowanego przesądami człowieka poluje zły przypadek, nędza i nienawiść — po ciemnych manowcach życia również uwijają się latarnicy. Każdy niesie drobny płomyk nad głową, każdy na swojej ścieżce roznieca światło, żyje niepoznany, trudzi się niedoceniony, a potem znika jak cień..." Ton ten nie milknie ze schyłkiem pozytywizmu — odnajdujemy go w pamiętnikach chłopów — w wypowiedziach chłopców i dziewcząt wiejskich, dla których z trudem zdobywana nauka to jedyna droga wydobycia się [illegible]tencjonalnego z opłakanych warunków życia wsi. Ton ten odnajdujemy w pamiętniku dziewczyny, która sądziła, że najszczęśliwsi na świecie są ludzie, którym nikt nie broni czytać, w wypowiedzi wiejskiego działacza optymisty: „...więc jakaś siła działa z biegiem czasu, wszystko się jakoś przeistacza, a to niby dlatego, że tych panów wiedza literaturna zajżała pod strzechy dymiących chat, że te pany nie chcieli być egoistami, podzielili się tą wiedzą z chłopem".

I oto sformułowano chłopski postulat pod adresem wiedzy: „Wszystko by dobrze było, gdyby nie te wyścigi zbrojeniowe w każdym państwie, na które zużywa się tyle pieniędzy i to, że wszędzie — tu wojna, tam wojna, tam wymyślono jakiś nowy gaz, a tam broń, żeby to zamiast tego interesowano się, jakim sposobem można zrobić cud, żeby chleb odrazu bochenkami rósł na zagonie, to mi się zdaje, że byłoby każdemu dobrze".

b) rekolekcje inteligenckie

Żywotne w drugiej połowie XIX w., rozmaicie kształtujące się koncepcje „powrotu do natury" i kultu prostego człowieka, rosyjskie narodniczestwo, tołstoizm, rodzime tradycje romantycznego ludomaństwa pozostawiły pewien ślad i na literaturze pozytywistycznej w okresie załamania się kultu cywilizacji technicznej.

„Ziemia, prosty człowiek i Bóg" — oto formułka ocalenia głoszona w „Lalce". Dziecko natury — taki np. „głupi Franek" Konopnickiej, — z którego twarzy „tryska nagle, niespodzianie żywe źródło jakiejś prapiastowej, gdzieś złotymi żyłami chodzącej wskroś ziemi myśli, jakiegoś uczucia wybłyskującego jutrzennym światłem dnia, o którym nie wiadomo nawet, czy przyjdzie kiedyś" — głupi Franek urasta na proroka prawd nieznanych najmędrszym. Durny Michałko i Jagna o nieumytych nogach — instynktownym „naturalnym" odczuciem obowiązku wobec bliźniego przyprawiają o rumieniec w[illegible]townych inteligentów. Zażenowane „my już tacy" — to akt skruchy i pokory wobec heroizmu maluczkich. Nieprzebrane bogactwa drzemią w duszy ludu...

„Co jest siłą ruchu wiciowego? — Wiara w boskość człowieczą masy chłopskiej i w jej możliwości twórczego życia i działania po drogach rozwoju wzwyż".

„Wiciowy ruch jest nurtem społeczno-wychowawczym, zmierzającym do strząśnięcia z duszy chłopskiej wszystkich namułów, osiadłych na duchowości chłopskiej...". (Na „wiciowych drogach" — 1937).

c) Janki, Antki, Węgielki

Inteligencka mistyka chłopomańska, zakłamana religia „Michałków" nie utrudniły pozytywizmowi dostrzeżenia zjawisk o dużym znaczeniu praktycznym: — wśród ludu marnują się bezpłodnie duże zdolności, — nieraz talenty. Powstało zagadnienie racjonalnego wykorzystania tego marnującego się kapitału społecznego. Obowiązek popierania talentów stał się jednym ze sloganów ówczesnej publicystyki i literatury.

Oczywiście tacy pupile nierzadko sprawiali kłopot opiekunom. Orzeszkowa spowiada w liście Jeżowi o przykrej niepewności — co robić z niewątpliwie zdolnym poetą ludowym z Białorusi — Dziadulem, który zwrócił się do niej o pomoc. A jeśli w mieście ulegnie niepożądanym wpływom, jeśli zatraci wrodzoną prostotę i naiwność, jeśli przestanie być posłusznym wychowankiem?

W odniesieniu do młodzieży wiejskiej lat międzywojennych — obawy te były w większości wypadków przesadne.

Janko-Muzykant stał się wprawdzie rzeczownikiem pospolitym. Życiorysy chłopów pełne są ubolewań: „....warunki, kture wykazują od chwili urodzenia te opłakane warunki, nie pozwalają spłynąć nawieźch tym myślom, kturych nie mogę wytłumaczyć, podobne zaś warunki stanowią mocną zaporę setkom takich uwięzionych dusz, kturym chce się pokazać na świat boży". Jednocześnie jednak młodzieżowe wzory osobowe są niepodejrzanie prawomyślne: — „...na wsi marnują się często Sienkiewicze, Żeromscy, Piłsudscy, czy inni wielcy ludzie".

Droga awansu jednostkowego, państwowy, lub prywatny mecenat w stosunku do spodziewanych „Sienkiewiczów" — to w oczach wiciowej młodzieży normalna i naturalna droga rozwiązywania problemu Janka-Muzykanta. Wiele lat musiało upłynąć, zanim wychowanek chłopskiego gimnazjum w Szczecinach postawił problem: „a jeżeli w domu jest nas czterech Janków-Muzykantów!"

d) „melioracja dusz"

Jakie remedium przeciwstawiała pozytywistyczna nowela rosnącym nadużyciom kapitalizmu? — Filantropię, miłosierdzie. Filantropia to jeden z zasadniczych motywów nowelistyki Prusa („Katarynka", „Sieroca dola", a nade wszystko „Sen").

O ile jednak można w fantastycznych wizjach sennych gorączkującego studenta stworzyć świat nędzy triumfującej i cierpienia cenniejszego nad szczęście ziemskie, dać apologię litościwej śledziarki i pognębić bankierowe, to w świecie realnych konfliktów międzyludzkich ideologia ta zdradza swą bezsilność. W „Powracającej fali" realistyczny obraz stosunków w niemieckiej fabryce na ziemiach polskich zarysowuje starcie interesów drapieżnego kapitalisty z lękliwym uporem robotników. Nie ma tu właściwie miejsca na dobroczynność. Postulaty szkoły przy fabryce, opieki lekarskiej, nieprzeciążania pracą — nieprzekonywująco wyglądają wobec ogromu wyzysku i krzywdy. Mąż sprawiedliwy — pastor Boehme — rzecznik idei miłosierdzia jest zabawnym maniakiem. Prus musiał uciec się do rekwizytorni boskiego odwetu, nienaruszalnej zasady sprawiedliwości i równowagi we wszechświecie, by nie stwarzać beznadziejnie pesymistycznego obrazu. Czym jest miłosierdzie w bezlitosnej maszynie kapitalizmu, jak ma się bronić przed wyzyskiem i kalectwem uczciwy i oświecony robotnik Gosławski? Co pomoże mu fakt, że „góruje duchowo" nad otoczeniem, jako wychowanek starego filantropa-maniaka?

Dysonansowo brzmi gloryfikacja cierpienia „uszlachetniającego": „Ja jestem Cierpienie — odpowiedziało widmo z okrutnym kolcem — gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnami maku, które śpią w bryle materii..."

Młodzi wiciowcy mieli dostateczne powody, aby się wyrwać z bryły materii, a mimo to: „Reforma rolna, to kwestia zawiła i nie tak łatwa, jak różni partyjni krzykacze skrzeczą. Równocześnie z reformą rolna musi postępować reforma dusz". (M. P. Ch.)

WNIOSKI

1) Z powyższych rozważań wynika, że nowela pozytywistyczna kolportowana na wieś bez komentarza **jest jednym z niebezpieczniejszych czynników mogących umacniać żywotne jeszcze w niektórych ośrodkach wsteczne tradycje ruchu ludowego.** Nie można rezygnować z artystycznych i historycznych wartości, jakie reprezentuje nowela pozytywistyczna, należy jednak odpowiednio stępić ostrze jej szkodliwej ideologii.

2) Nowela jest gatunkiem literackim, który ma **wszelkie szanse powodzenia w nowozwerbowanych kręgach czytelników.** Krótkość, związek z formami opowiadania ustnego, wreszcie taniość — to zalety, które przyciągają niewyrobiony ogół czytelników, stykających się z książką rzadko, przegryzających się przez nią z trudem. Natomiast nowela jest niepopularna wśród wiejskich pożeraczy książek: tu powodzenie mają raczej „grube" powieści. Nowele dla półinteligencji wiejskiej można wydawać tylko w większych zbiorkach, opatrywanych odpowiednim wstępem. Wydawnictwo byłoby przeznaczone także dla działaczy wiejskich.

3) Zagadnienie powieści i noweli pozytywistycznej winno być **dokładnie przedyskutowane w Kołach ZMW „Wici".** — Aktyw młodzieży wiciowej winien także dopomóc w rozpracowaniu problemu współczesnej literatury dla wsi.

Maria Żmigrodzka

Jerzy Falenciak

ROZPAMIĘTYWANIA NIE — ANALFABETY

KIEDYM BYŁ ANALFABETĄ.

Ktokolwiek nauczył się czytać jeszcze w dzieciństwie, ten nigdy nie zastanawia się nad tym, czym jest dla niego ta umiejętność. Tak samo zresztą jak nad tym, że mówi, a kiedyś nie mówił, że chodzi a kiedyś nie chodził, albo, że gra na czymś a dawniej grać nie umiał. Wynika to pewnie stąd, że umiejętność czytania, rozmawiania, chodzenia i t. d. przychodzi i rozwija się w miarę potrzeb oraz sposobności.

Przypominam sobie bez uprzedzeń, że ze mną było inaczej. Zacząłem czytać gdzieś między szóstym a siódmym rokiem życia i nauka tego trwała chyba nie dłużej niż jeden tydzień. Łatwość pisania nie postępowała jednak u mnie w parze z łatwością czytania. Ale to już inna rzecz.

Przedtem zanim opanowałem — bądź co bądź — sztukę czytania, nękały mnie różne uczucia. Uczucia te były najpierw przeżyciami sceptyka, podejrzewającego wszystkich czytających — u chłopów czyni się to na głos — o jakąś mistyfikację, powątpiewającego w możliwość związku między drukiem a słowem i myślą. Następnie, kiedy taki związek wydał mi się całkiem prawdopodobny popadłem w rozpacz, że nigdy tego nie pojmę, darząc znawców liter, często zaledwie sylabizujących, podziwem i zazdrością. Były to więc przeżycia typowego analfabety, liczącego mniej więcej pięć lat życia.

W mieście tego rodzaju przypadek byłby prawie niespotykany. Lecz co innego na wsi między chłopami, gdzie czytelnictwo polega nie tyle na **czytaniu** ile na **słuchaniu** czytającego, zaprzysiężonego wioskowego lektora czy lektorki.

Czytało się u nas wtedy Gazetę Świąteczną, jedną na trzydzieści dwie chałupy, i tylko zimą, u starej Goreckiej (słynnej w całej parafii z największej lampy i najmniejszej chałupy — rudery). Najbardziej poszukiwaną lektorką była moja matka. Posiedzenia gromadziły, pamiętam, ciekawych chłopów (czasy pierwszej wojny), zalecających się „kawalircoków" (nie ciekawych polityki lecz podszczypujących obecne tam panny); za tym kilkoro rozespanych dzieci, zawsze pies czasem dwa i jakby obowiązkowo rudy. Franuś, biedny bełkocący kretyn nic nie rozumiejący ale zasłuchany w słup.

Co z tego czytania trwa do dziś w mej pamięci? Tylko dwie sprawy. Publikacja okoliczności towarzyszących spiskowi zamachowców na życie austriackiego arcyksięcia („spiskowcy ciągnęli gałki, jeden wyciągnął, czarną, musiał zabić arcyksięcia a gdyby nie zabił, to jego samego by zabili"). Ponadto wiadomość, że Niemcy mają armatnie kule większe od chłopa. Rysunek czy fotografia pocisku, przewyższającego mężczyznę, uprawdopodobnił mi naocznie, że tekst wokoło rzeczywiście coś wyraża.

Książka w tym czasie była dla mnie czymś mało interesującym, zawsze prawie do nabożeństwa, nie źródło nabożnej lektury bynajmniej, lecz szczegół dekoracyjny, noszony w niedzielę rano przez dziewczęta w lewej ręce razem ze złożoną chusteczką do nosa i astrem.

Refleksje moje z lektoratów odczynianych u starej Goreckiej Rozalki były takie, że nigdy za żadne skarby nie dam się namówić do ciągnięcia jakichkolwiek gałek. Oprócz tego pasąca się o dwieście kroków krowa troiła mi się już w niemiecką armatę wycelowaną akurat w naszą chałupę. Pozostała z tego we mnie dotąd trwożliwość wobec rzeczy i spraw pośrednio zagrażających, co chyba szkodziłoby, gdybym np. stał się politykiem. Tak myślę sobie w tej chwili.

„HRABIANKA DE KENEY"

Polskie Radio urządziło, bodaj w 1935 r. szereg audycji pt.: „Moja pierwsza książka". Przed mikrofonem wystąpiło wielu wybitnych pisarzy: Boy, Kaden, Iwaszkiewicz, Sieroszewski, Tuwim, Słonimski. Zdaje się, że prawie wszyscy wymieniali „Pana Tadeusza", snując następnie wspomnienia o tym, co pod wpływem tego utworu działo się w ich chłopięcych sercach.

Słuchając zastanawiałem się i wątpiłem, czy jeżeli kto z nich czytałby po raz pierwszy w życiu nie „Pana Tadeusza" a powiedzmy „Trędowatą", czy przyznałby się do tego, a jeśli tak, to co by o tym powiedział przez radio.

Ja bowiem w ich położeniu nie miałbym się czym chwalić, a to z tej okoliczności, że pierwszą książką mojego dzieciństwa była wychodząca kiedyś zeszytami powieść pt.: „Hrabianka De Keney", tego samego rodzaju literackiego co „Jack Rozpruwacz" (czytało się jak „Jacek", z pominięciem „e") i zdaje się, że z tej samej „oficyny wydawniczej". Nabył ją jeszcze w zeszytach mój ojciec jako młody chłopak, terminujący na tkacza w warszawskiej fabryce dywanów i kazał następnie to oprawić na prawdę w piękną okładkę (w dwa woluminy).

Pod koniec swego życia tłumaczył mi, że takie rzeczy przynosili do fabryki co wypłatę krążący odsprzedawcy i gdyby zamiast „Hrabianki de Keney", wetknęli mu „Ogniem i mieczem", to kupiłby „Ogniem i mieczem". Ale, cóż stało się, trudno.

Okładka powieści nosiła tylko tytuł, bez wskazania autora.

Rzecz sama dziala się na Węgrzech, w mieście Budapeszcie oraz na puszcie.

Zaczynała się tak. Młoda cyganka ma bardzo małe dziecko, dziewczynkę. Martwi się o los córeczki, który nie może być łatwy między cyganami, dziś tu, jutro tam. Widzi jak szczęśliwe jest życie dzieci bogaczy. W budapeszteńskim parku spotyka piastunkę z wózkiem, w którym leży mały chłopiec, synek tamtejszego arystokraty. Korzystając z nieuwagi niańki zamienia dzieci. W pałacu rozpacz, stroskani rodzice przywiązują się jednak do malutkiej cyganeczki i adoptują ją. Skradziony arystokrata rośnie między cyganami, nosi imię Layosz, gra pięknie na skrzypcach, wyrasta na dyrygenta cygańskiej kapeli. Przygarnięta przez magnatów podrzucona cyganeczka kończy ileś tam lat. Przybrani rodzice wydają z tej okazji bal, uświetniony wystąpieniem orkiestry Layosza. Między młodymi wybucha gorąca miłość, ale cóż on cygan wędrowny a ona arystokratka. Tragedię rozplątuje pseudo-matka Layosza, wyjawiająca tajemnicę muzyka, który jest hrabiczem oraz hrabianki, która jest cyganką i jej córką. Ślubowi nic nie stoi już na przeszkodzie. Na weselu gra orkiestra Layosza, bolejąc, że traci kapelmistrza. Młodą parę żegnają cyganie okrzykiem „Elien". Małżonkowie wyjeżdżają w podróż poślubną za granicę.

Być może, iż egzemplarze tej powieści krążą jeszcze po prażmowskiej parafii, a kto wie czy nie dalej — po wągrodzkiej gminie. Trudno ją było zaczytać na śmierć, taka solidna oprawa. Czy książce tej co zawdzięczam — chyba tak, przedwczesną kochliwość, sentymentalizm pozwalający mi później na czytanie Żeromskiego po piętnaście razy każdą powieść. Lecz co wtedy najważniejsze, „Hrabianka De Keney" wywołała we mnie wstrząs, polegający na wyszukiwaniu wszystkiego co dotyczyło cyganów. W ten sposób, mając osiem lat przeczytałem Jokay'a „Poruszymy z posad ziemię". Pożyczył mi ją pewien nauczyciel spod Grójca, ale okazało się, że to powieść o Węgrach i to jeszcze kalwinach i masonach, która mnie wytrąciła z posad ówczesnej prażmowskiej szkoły, bazującej na prażmowskiej organistówce.

Bajki, i powiastki: „O sierotce Marysi i krasnoludkach", „O dwóch mrowiskach", o Sluksach, o wszystkich Robinsonach, przyszły nieco później i pochodziły ze szkolnej bibljoteczki w Zawodnem, koło wsi Nowy Prażmów, w której mieszkałem. Czytało się różnie, idąc, przy drzazgach rozpalonych w popielniku, rzadko kiedy przy stole lub oknie, wszystko przypadkowo, rzadko z wyboru. Czytanie czegokolwiek poza gazetami nie uchodziło w naszej wsi za cnotę. Wobec dzieci obowiązywała dziwna zasada: „Jak nie masz co do roboty, to się ucz" (rozumiało się, że rachunków, arytmetyki). Czytający zaś był uważany po prostu nie za chłopa (przykładem moi rodzice) lub za lenia (przykładem ja).

LEKTURA NA SERIO.

Rutyna mieszczańskiego czytelnictwa (ma dobre i złe strony) rozpoczęła się u mnie dopiero około dziesiątego roku życia po wyemigrowaniu wraz z rodzicami do Warszawy. Jej niewyczerpane źródło stanowiła czytelnia W. T. D. przy ul. Rejtana 3, prowadzona przez mądrą i doświadczoną bibliotekarkę.

Dziś od tych czasów upłynęło bez mała trzydzieści lat. I nie mogę przypomnieć sobie wyraźnej odpowiedniości między losami bohaterów a moimi. Layosz był raz cyganem raz hrabią, Koloman poetą i pięknym kochankiem, Ślimak kochał ziemię, Boryna także, chłopcy Sienkiewicza — to nie ja, chłopcy Żeromskiego — też nie ja, nic też u Struga ze mnie ani u Conrada, u nikogo. Od małego przeznaczono mnie do „lekkiej roboty" z powodu ubytku żebra po operacji płuca. Poszedłem więc „do szkół" a nie „do terminu". Na wsi nie było na czym pozostawać. Czułem się trochę wszystkim i niczym naraz. Ni to dzieckiem chłopskim ni robotniczym. Od mieszczaństwa i inteligencji stroniłem więcej może nawet niż oni ode mnie. Wzrastałem w towarzystwie Żydów (jakie to przedziwne, że Żyd z „dziesięciu pokojów z kuchnią" potrafił obracać się po ciasnocie naszej pekinowskiej klity, jakby całe życie tam mieszkał). Nie przepychałem się przez życie, zawsze podpierany przeszedłem mimo to przez środowisko najpierw chłopskie potem robotnicze, jako typowe dziecko najpierw chłopskie, a następnie robotnicze. Rozwijałem się i wychowywałem wraz z rodzicami, to samo moja siostra, (tu jedyna analogia z „El Hakimem" Knitela). Dobre podstawy łaciny zawdzięczam prażmowskiemu kościółkowi, w którym służyłem do mszy. Znajomość hebrajskiego pochodzi u mnie stąd, że w mej klasie było dużo Żydów, którzy musieli w końcowych klasach uczyć się tego języka, a ja z nimi. Zamiłowanie do starożytności rozpoczęło się u mnie pod wpływem opowiadań ojca o jego walkach w ekspedycji rosyjskiej przeciwko Venizelosowi na Krecie, gdzie co drugi pies wabi się Minos. Prawnikiem zostałem przypadkiem (nie żałuję). Gdybym nie pracował w Banku Rolnym nie wiele łączyłoby mnie ze wsią poza wspomnieniami (ta praca też z przypadku).

Wpływ lektury na przebieg życia, jeśli nawet jest, to bardzo pośredni i trudno mi go na prawdę dostrzec. Kiedyś uważałem się przez pewien czas za coś w rodzaju londonowskiego Martina Edena, ale to było dziś widzę tylko złudzenie nie pozbawione snobizmu. Za tzw. inteligenta zacząłem się uważać dopiero po ostatniej wojnie.

Obecna moja lektura nic nie ma wspólnego z tym wszystkim, co kiedyś czytałem i przeczytałem. Polega na szperaniu w antycznych tekstach prawniczych. Obecnie tkwię w dokumencie papirologicznym należącym do zbiorów D. Colta, znalezionym w Auja — el — Hafir w Palestynie i mówiącym o tym co nazywa się manumisją niewolnika (VIII w. po Chr.).

Związku między zamiłowaniem do tej roboty a lekturą „Hrabianki De Keney" sprzed trzydziestu lat nie widzę.

W ZAŚWIATACH

(Dokończenie ze str. 6)

płacząc dopóty, dopóki ciotki nie wniosły lampy. „Zofio jeszcze płaczesz? Więc tym razem dałaś mu się przekonać i pozwoliłaś mu robić, co tylko zechce?" Miałem dwadzieścia osiem lat, wybierając żonę, trzydzieści siedem, kiedy urodził się mój syn.

Małymi oczami, otoczonymi miliardami linii tak cienkich, jak te, które spotykamy na obrazach — akwafortach, oglądał zdjęcie.

— Stale siedział na koniu. Jeśli sfotografowano ich razem, to tylko dlatego, że byli nierozłączeni. To zdjęcie służyło mi jako zakładka przy czytaniu tomów, w których można było oglądać moich i jego przodków aż do dziesięciu pokoleń wstecz, posługując się kronikami naszego kraju. Toteż, gdy obracałem stronę, czułem się tak, jak gdybym go widział własnymi oczami, jadącego konno długą drogą, którą jego krew i kości przebyły, zanim jeszcze należały do niego.

Jedną ręką trzymał nadal fotografię drugą ujął papieros. Bibułka znów się starła. Odwinął ją nieco, potem zatrzymał się, jakby nie chciał zdejmować jej do końca. „Niech więc pan powie mi swoje zdanie. Uwierzę panu!"

— Niech pan szuka swojego syna — powiedział tamten.

— Niech pan go szuka.

Sędzia siedział bez ruchu. Zawahał się: „I znaleźć go?"

— I znaleźć go? — Ingersoll nie odpowiedział.

Sędzia podniósł się, by przyjrzeć mu się dokładnie.

Tymczasem papieros rozsypał się i deszcz tytoniu spłynął na błyszczące obuwie.

— Czy to pańskie ostatnie słowo? Przecież uwierzę panu.

Ale tamten stał nieruchomy, szary, bezkształtny, prawie nie do określenia! Patrzył w ziemię.

— Pan tak nie może — ponowił sędzia, gdy to mówił postać jego straciła cały swój wyraz, jak gdyby stawała się pusta.

— Nie może pan, nie może — powtarzał tonem zamyślonego zniechęcenia. — Nie może pan. Czy chce pan przez to powiedzieć, że nie potrafi pan dać mi odpowiedzi? Że pan nic nie wie? Że nawet pan nie wie? Pan — Robert Ingersoll?

Człowiek, którego Mothershed nazywał Ingersoll nawet nie drgnął.

Wolny przekład Genezypa Kapena

Władysław Dunarowski

Czary w Odrze zatopione

Szlak mojej wędrówki ciągnął się od Oleśnicy, przez Namysłów, Dąbrowę Namysłowską, Pokój, Opole, Oławę, Brzeg, .Grodków, Nysę, Kłodzko, Kudowę — czyli był to szlak mniej głośny od takiego, jak: Wrocław, Jelenia Góra, Szklarska Poręba, Wałbrzych. Nie mniej jednak ciekawy i nie mniej urozmaicony. Ciągnął się zatem ów szlak poprzez łąki nadodrzańskie i mniej urodzajne niziny na prawym brzegu Odry, przez bogate lasy Opolszczyzny i jeszcze bogatsze niziny lessowego czarnoziemu po lewej stronie Odry — aż do urodzajnych zboczy pogórza Sudeckiego i kuracyjnych miejscowości ziemi Kłodzkiej.

W Namysłowie wzmaga się jesienny upał. Ale wąskie ulice miasta kończące się prawie zawsze gdzieś pod dawnymi murami — mają cienia dosyć. I jakkolwiek w pobliżu rynku widać zniszczenia wojenne, to mury okalające miasto, to słynna Brama Krakowska z XIV wieku, to wreszcie potężny gotyk fary — zachowały się w całości. Miasto na ogół ciche i spokojne. W sklepach można dostać wszystko. W kawiarni góry dobrych ciast. W restauracji za dobry obiad płaci się znacznie mniej niż w Krakowie czy Poznaniu. Nad miastem już dymi komin browaru, a piwo tutejsze wybitnie konkuruje z piwem Kluczborskim. Na asfaltowej szosie dziś znaczny ruch: — chłopi zwożą zboże, którym uiszczają podatek. Pełne fury zboża, wyprodukowanego już polskimi rękami na tej prapolskiej ziemi.

Powiat namysłowski do zbyt urodzajnych nie należy. Przeważa ziemia lekka, piaszczysta, w którą wrzynają się pasy gleby całkiem dobrej. A przede wszystkim łąki. Szerokie i rozległe łąki. I jeżeli naszemu podróżnikowi „ryby śpiewają w Ukajali" — to tutaj, na tych rozległych łąkach, ciągnących się od powiatu Namysłowskiego prawym brzegiem Odry aż do wylotu niziny Śląskiej, poprzegradzanych polami uprawnymi — śpiewają stworzenia bardziej lądowe i więcej swojskie — a mianowicie żaby. Tysiące, tysiące żab, małych, większych, średnich, ale przeważnie małych. Nie są to jakieś odrażające ropuchy, ale wcale miłe żabki. Radość, drgającą u samej ziemi nadodrzańskich łąk czuje się w rozpylonym powietrzu, słyszy się w bezdźwięcznym szumie stwardniałej trawy.

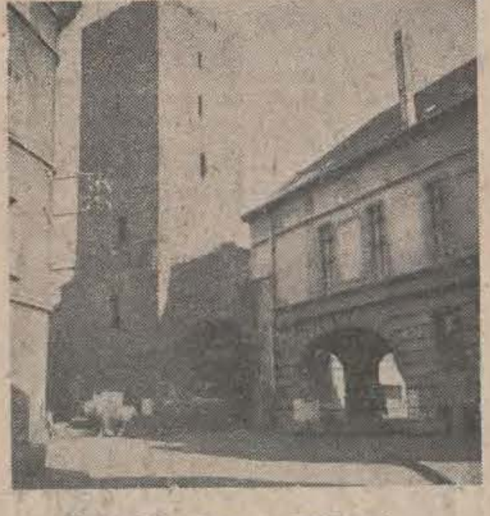
Dzielę się spostrzeżeniem z kopiącym opodal ziemniaki gospodarzem. — A jest tego stworzenia, jest! — odpowiada. — Czasem aż na drzewa wyłażą. Nic dziwnego: teren nisko położony, kiedyś były tu chyba moczary. Tak wygląda.



Namysłów. Brama Krakowska i stare mury wokół miasta



Dąbrowa Namysłowska. Fragment parku



Namysłów. Brama Krakowska

— Jak daleko ciągną się te łąki?

— Mówią, że po Wrocław, a nawet i dalej, bo po Legnicę. W tych okręgach, tj. Legnickim, Wrocławskim i Opolskim łąki zajmują ponad 10% całego obszaru. Potem występują jeszcze w Sudetach i pogórzu Sudeckim, ale tam zajmują niższy procent obszaru.

— Siana wam tutaj chyba nie brakuje?

Osadnik śmieje się.

— Nie, siana u nas nie brakuje. Bydło teraz słomy nie jada, jak jadało tam na Podkarpaciu, skąd przywędrowaliśmy. Tam orało się każdy zagonek, aby tylko tego chleba było więcej. Trawa rosła jedynie na groblach, w sadzie i trochę koło domu. Ponieważ nie było pastwisk, więc bydło wyskubało, co tylko puściło się gdzieś zieleniny, tak że na siano nie wiele co zostało. Dla bydła była tylko słoma ,a czasem i tej zabrakło. Toteż z krów pożytku nie było. Był inny: przecież krowami orało się pole, zwoziło się zboże do stodoły, a nawet jak bieda przyparła, to po drzewo do lasu też się wyjechało. Tylko o mleku nie było mowy. Baby wciąż pomawiały kogoś o czary. Bo niesposób, żeby od dwóch krów, niedawno ocielonych, tej mizernej kapki mleka... Więc smarowały wymiona kredą święconą, kadziły ziołami, lecz bez skutku. Dopiero tutaj czary popuściły. Widocznie Odra pomogła. Złe moce poszły na dno.

Gospodarz śmieje się serdecznie i z pobłażliwością dla kobiecego rozumowania. Zdarza się jednak, że nieraz sam pomagał babom w tych cudotwórczych zabiegach. Tłumaczy się, że w biedzie człek głupieje do cna i chwyta się wszystkiego, każdej niedorzeczności nawet, gdy nie widzi innych sposobów zaradzenia złemu.

— Krów do zaprzęgu używacie tutaj?

— Dziś już nie. Ale w 45 roku ludzie zaprzęgali nawet siebie. Dziś we wsi jest tyle koni, że ten stan jest już wystarczający. Kto mógł, sprowadził konia z centrum kraju, potem nadeszły transporty z Danii, Holandii, Szwecji — tak że bolączki pod tym względem już się zagoiły.

Pytam o fury słomy i siana, które widziałem koło stacji. Na to osadnik z całą satysfakcją opowiada, jak to do nich przyjechali niedawno krewni i znajomi z Podkarpacia z prośbą o ratunek. Przyjechali tamtejsi zamożni gospodarze do dawniejszych chudopachołków — po wsparcie. Bo tam nawet tym zamożniejszym nigdy się nie przelewało, a tymczasem obecny rok był fatalny. Okropna susza spowodowała marne urodzaje, a co najgorsze — pozbawiła ludzi paszy dla bydła. Więc ci rada w radę przyjechali tu nad Odrę po siano. Gdy zobaczyli owe łąki .aż się za głowy chwytali. A mieli okazję do tego jadąc do Wrocławia po wagony do Dyrekcji kolejowej. Miejscowa bowiem stacja załatwić tego nie może. A możliwe, że zależało im na pośpiechu.

Zmrok zapada, wracam do wsi.

Dąbrowa Namysłowska jest wsią skupioną, o regularnych uliczkach, podobna do małego miasteczka. Domy z cegły, jak również inne zabudowania gospodarskie. Niektóre nawet piętrowe. Wszędzie gwar, nawoływania, pianie kogutów, szczekanie psów, turkot wozów po brukowanej ulicy. Przy głównej ulicy spółdzielnia, w której można dostać najpotrzebniejsze towary. Po większe zakupy jedzie się do Namysłowa Przechodzi bowiem przez wieś linia kolejowa z Namysłowa do Opola, ale wobec niewykończenia toru na przestrzeni coś 7 km, zniszczonego w czasie wojny — pociągi dochodzą tylko do Pokoju, sąsiedniego miasteczka Dąbrowy.

Wieś przylega do wielkiego parku dworskiego. W parku wspaniałe dęby wiekowe, rozłożyste olbrzymy. W środku spalony pałac, a raczej wypalony, bo ściany prawie nietknięte. Gdyby zabrano się do szybkiego remontu, budynek mógłby służyć jakimś społecznym instytucjom. Jego parkowe otoczenie aż się prosi, by tu urządzić albo dom wczasów, albo kolonie szkolne, względnie jakąś szkołę. Opodal stoją niezniszczone zabudowania dworskie.

W samej wsi drzew mało. Sady ograniczają się do paru drzewek. Okolica raczej uboga w sady, teren rzekomo nie odpowiada sadownictwu. Choć niedaleka Trzebnica pod tym względem już przedstawia się całkiem inaczej. A cóż dopiero mówić o lewobrzeżnej połaci Nadodrza, gdzie warzywnictwo i sadownictwo stanowi w gospodarce rolnej pozycję wybitną. A cóż mówić o okolicy Zielonej Góry, gdzie uprawa winogron stwarza podstawy pod rozwijający się tam przemysł win owocowych i gronowych.

Dąbrowa liczy sto dwadzieścia gospodarstw. Z tego 10% zajmują autochtoni. Reszta — to osadnicy z Podkarpacia, spod Kielc, oraz repatrianci zza Bugu. Większość osadników przybyła zaraz w 45 roku późną wiosną, toteż dziś uważają się za zasiedziałych już tubylców, powoli zapominających o swoich dawnych sadybach. Zresztą życie pędzi a warunki nowego życia wymagają dużo pracy fizycznej oraz łamania głową, tak że na ckliwe pomyślunki brakuje ochoty.

Z pewną obawą pytam o jakość tutejszej ziemi. Wiem przecież, że w powiecie namysłowskim przeważają piaski, jakkolwiek pasami wciskają się lessowe płaty urodzajnej gleby, jaka po lewej stronie Odry ciągnie się aż po Sudety. Tu owe pasy coraz bardziej zanikają.

Ale chłop nie gani sobie. Całe lata mordował się ze skalnym Podhalem, marząc w największej skrytości ducha o plebańskich czy dworskich równinach. Marząc i złorzecząc, rozmyślał pewnie, jakim to prawem się dzieje, że równie są przywilejem dworu i plebanii, a górskie wierchowiny, ugory kamieniste, wszelkie paryje i niedostępne urwiska znów z reguły należą do chłopa. Skąd się wzięło takie prawo na ziemi? Gdy wreszcie przyszło inne prawo, że wielkie równie stały się chłopską własnością, a chłop znalazł się u celu swych marzeń — czyż mógłby narzekać? Jaka jest, to jest, ale równia. Tyle tej równi, że okiem jej nie zmierzyć. A co do jej jakości, to różna: jest dużo lekkiej, ale są miejsca pod pszenicę a nawet pod buraki cukrowe. Na razie jest tej ziemi dosyć, więc jest w czym przebierać. Głodować już nie trzeba, chociaż pracy dosyć. Praca jednak lżejsza, ułatwiona maszynami. Z roku na rok lepiej. Zapełniają się chlewy, obory, a co najważniejsze — siły pociągowej już nie brakuje. Transporty koni z Danii i Szwecji załagodziły tę dotkliwą bolączkę pierwszego okresu bytowania na tutejszych ziemiach. Bo chociaż były siewniki, kopiarki, kosiarki — lecz bez koni te maszyny nic nie znaczą.

— A co wam się najlepiej opłaca? Pszenica czy buraki cukrowe?

— W tym roku doszedłem do przekonania, że ani pszenica, ani buraki, tylko len. Tak jest. Len. Żałuję, że mało zasiałem. Za to na drugi rok...

Dawniej mówiąc o lnie, myślało się o ubogich kresach wschodnich. Jakiś tam prymitywny przemysł domowy, zwoje białego płótna po jarmarkach... Nikomu nie przyszło na myśl sprawdzać, że uprawa lnu na Dolnym Śląsku należała do najbardziej wydajnych w Niemczech. Że teren jego zasięgu obejmował blisko 20000 ha. Że na nim opierało się szeroko rozwinięte przędzalnictwo. Tylko że dawniej uprawą lnu na Śląsku zajmowały się wielkie majątki, które posiadały jak gdyby monopol na tę uprawę. Dziś stosunki się zmieniły. Wielkie majątki po rozparcelowaniu przechodzą w chłopskie ręce. A błękit kwitnącego lnu na prawym czy lewym brzegu Odry cieszy oczy i serce prapotomka tej piastowskiej ziemi. Błękit kwitnącego na wiosnę lnu, błękit Odry i błękit nieba zlewa się w jedną harmonijną całość, urzekającą każdego. A potem polskie ręce przerabiają ten len na włókno w licznych roszarniach, które następnie odstawiają surowiec do przędzalni, do tkalni, tak licznych na Dolnym Śląsku, jak w okręgu Sudeckim: Kamienna Góra, Krzyżatka, Świdnica, Lubań, Kożuchów, Nowa Sól i inne.

— Czyli Dolny Śląsk krainą lnu?

— Bez wątpienia.

— Gdzie wy odstawiacie wasz len?

— Powiaty: Namysłów, Kępno, Kluczborek i Opole odstawiają len do roszarni w Wołczynie.

A zatem jutro rano jadę do Wołczyna. Do zobaczenia się w Roszarni Lnu i Konopi w Wołczynie.

*

Mijamy na dziedzińcu jedno z biur, przed którym ustawił się długi ogonek ludzi. To ci, co odstawili len, teraz czekają na odbiór gotówki względnie materiałów. Przeważają kobiety. Gdzieżby dopuściły swoich mężów do takiej czynności? Czy chłop zna się na materiałach kobiecych? Nie powiem, żeby ten urzędnik miał łatwą robotę. Materiały są różne, a tym samym wybór trudny. Jakaś kobieta dźwiga kilka różnych wałków. Inne jej zazdroszczą.

— Patrzcie! Ale nabrała towaru!

— A wy nie nabierzecie?

— W tym roku nie. Mój podpisał umowę tylko na 25 arów plantacji, choć mówiłam mu... Za to na drugi rok...

— Tamta miała dosyć dużo i prawie wszystko ocenili na pierwszą klasę. Toteż nic dziwnego, że nabrała towaru przeróżnego.

— O, na drugi rok będę już wiedziała...

Jestem w hali obszernej, gdzie młóci się len i czyści nasienie. W powietrzu pył, jakkolwiek pochłaniacze działają bez przerwy. Przy jakiejś maszynie otrzymuję uwagę, że służy do oczyszczania nasion i posiada tak silne magnesy, że potrafi nawet zegarki z kieszeni wyciągnąć. Nie dowiedziałem się, czy to był tylko kawał, stwierdziłem jednak, że mój zegarek szczęśliwie ocalał.

Chlubą Roszarni w Wołczynie są wspaniałe bunkry belgijskie, jedyne tego rodzaju w Europie urządzenia do moczenia lnu. Są one hermetycznie zamykane i spełniają swoje zadanie znakomicie. Są też baseny zwykłe, jakie znajdują się w innych roszarniach. Tych zwykłych basenów używa się do moczenia w okresie zimowym.

Po wymoczeniu suszenie. Oczywiście suszenie na polu jest najlepsze i jak długo się da, korzysta się z takiego suszenia. Lecz gdy warunki klimatyczne nie pozwalają, czynność tę spełniają suszarki.

Teraz następuje właściwa przeróbka, czyli międlenie. Len przechodząc przez potężne walce-tryby, gubi paździerze, by wreszcie zamienić się na pożądane włókno. Teraz następuje sortowanie: włókno i pakuły — pakowanie i wysyłka do fabryk tkackich.

— A co z tymi kupami paździerzy?

— W kotłowni zobaczy pan ich przeznaczenie. Służą na opał.

Sygnał. Maszyny zatrzymują się. To krótka przerwa na drugie śniadanie.

Jestem znów w kancelarii. Jakiś robotnik z papierkiem w ręku podchodzi do biurka. Dyrektor czyta. Ale widzę, że z trudem utrzymuje powagę. Wreszcie pyta:

— Świadków macie? Dwóch trzeba.

— Tam wszystka mogą świadczyć. Słyszeli. Wszystka słyszeli, jak mię szkalowała. Nie mogę pozwolić. Proszę o ukaranie.

Człowiek wysoki, suchy, twardy w ruchach, wychodzi zadowolony, gdy usłyszał z ust dyrektora, że winowajczyni będzie ukarana.

Dowiaduję się, że to autochton, jeden z dziesięciu robotników, pracujących w fabryce. Firma ich ceni za sumienność i uczciwość. Pracę pojmują bardzo serio. Nawet na lekkie żarty przy robocie patrzą wrogo. Nie mogą znieść, aby podczas pracy ktoś zagadywał, stroił śmiechy czy żarty. To do roboty nie należy. Choćby dziś. Któraś go tam znów „oszkalowała".

— Co pan sądzi o ich polskości?

— Wiem jedno: są dobrymi pracownikami, na których można polegać.

Zabieram się do odejścia. Pan Kopczyk jest wyraźnie zmartwiony. Przecież tylu rzeczy godnych widzenia nie zdążył mi jeszcze pokazać. Choćby tej spółdzielni, która co dopiero została otwarta.

— Ten nowy sklep w rynku — to nasza spółdzielnia.

— Przed wyjazdem z Wołczyna na pewno zobaczę waszą spółdzielnię. A teraz niech mi pan zdradzi tajemnicę co do swych planów na przyszłość.

— Częściowo już je pan zna. W całości wyglądają tak: powiększyć zasiew lnu do 2.000 ha, uruchomić nową maszynę i powiększyć plantacje konopi. I co poza tym da się zrobić, to zrobimy.



Dąbrowa Namysłowska
Łąki — pejzaż.

Jestem głęboko przekonany, że słowa te na wiatr wypowiedziane nie były. Za tymi słowami bowiem stały bardzo wyraźne osiągnięcia tak w dziedzinie produkcji, jak troski o człowieka.

W OSTATNIM 8—9 (137—138) NUMERZE „WSI“

z dnia 22—29 lutego 1948 r.

LISTY TEATRALNE

KIELCE

Aby zrozumieć, jak ważną rolę w chwili obecnej odgrywa teatr w Kielcach, należy cofnąć się pamięcią wstecz do lat przedwojennych. W okresie międzywojennym nie było tu stałego teatru, próby, jakie czyniono, by taką instytucję utrzymać kończyły się całkowitym fiaskiem.

Przejeżdżały rzadko przez Kielce dobre zespoły teatralne np. Jaracza, Perzanowskiej, Przybyłko - Potockiej. Teatrem żywo interesowały się gimnazja, które wystawiały sztuki związane z programem szkolnym w zakresie literatury, a więc Sofoklesa, Niemcewicza, Moliera, Fredry, Wyspiańskiego.



Teatr im. Żeromskiego w Kielcach. „Dom otwarty" Bałuckiego.

Po wojnie w roku 1945/46 teatr operował repertuarem, dającym sztuki kasowe, łatwe, bez problemów i bez wysokiego poziomu literackiego. Obrazem ówczesnego zainteresowania publiczności kieleckiej niech będzie fakt, że gdy wystawiono „Pygmaliona" Shaw'a na kilku przedstawieniach było od 5 do 30 osób. Sztuka leżała; podczas gdy na „Ostrożnie świeżo malowane", „Macierzyństwo panny Jadzi", czy „Trafika pani generałowej" były nadkomplety.

Można już obecnie rozwój teatru kieleckiego rozbić na dwa okresy. Pierwszy — okres odbudowy teatru — nowej polityki w repertuarze i rozwoju życia teatralnego w dyskusjach na łamach pism tygodniowych i codziennych.

Okres drugi datuje się od objęcia kierownictwa teatru przez Hugona Morycińskiego, który podejmuje próby rozwiązania repertuaru przez usunięcie przypadkowości, a przeprowadzenie inscenizacji o walorach realistycznych i społecznych.

Reżyseria jego podnosząca problem do należnej mu godności dała cały szereg cennych obrazów o silnym nurcie społecznym. Poza tym repertuar o wysokiej klasie literackiej postawił zagadnienie teatru na właściwej płaszczyźnie społecznej i wychowawczej i został przez społeczeństwo godnie przyjęty. Wystarczy wymienić w ubiegłym sezonie „Zemstę" Fredry, „Świerszcza za kominem" Dickens'a, „Ptaka" — Szaniawskiego, „Żołnierza i bohatera" — Shaw'a, „Pana Jowialskiego" — Fredry, „Sen nocy letniej" — Shakespeare'a — rzeczy, w których rozwiązanie przestrzenne, dekoracje i reżyseria należą do cennych eksperymentów współczesnej sceny polskiej.

Nie tak dawno, bo zaledwie rok temu, obserwowaliśmy zjawisko niechęci i nieufności ze strony społeczeństwa do teatru, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach. Publiczność nie dowierzała miejscowemu zespołowi aktorskiemu, woląc korzystać z imprez przyjezdnych. I bywało tak, że zespoły gościnne miały sale pełne, a teatr miejscowy świecił pustkami. Od roku sprawa przedstawia się wręcz odwrotnie.

Społeczeństwo nie tylko uczęszcza na widowiska miejscowe, ale dyskutuje i żyje nimi.

Dziś do teatru w Kielcach przyjeżdżają wycieczki, jak to zalecał Jan Szczepański w związku z wystawieniem „Snu nocy letniej" ze wsi i miasteczek, do których zespół teatralny ze względów technicznych dotrzeć nie może; była więc wycieczka z Pińczowa, zorganizowana przez starostę, z Jędrzejowa, Włoszczowej, były wycieczki z Suchedniowa, Ćmielowa, organizowane przez tamtejszych działaczy społeczno - kulturalnych czy oświatowych. Obecnie teatr kielecki spopularyzował się na terenie województwa i jest siłą przyciągającą społeczeństwo z różnych środowisk. Być może, iż popularność między innymi można przypisać niskim cenom biletów, bodaj najniższym w Polsce — od 80 do 260 zł. Dyrekcja teatru urządzała też specjalne przedpołudniowe i popołudniowe przedstawienia dla młodzieży szkolnej, dla robotników; cieszą się one dużą popularnością.

Sezon 1947/48 H. Moryciński rozpoczął „Rewizorem" Gogola z Zadrozińskim w roli tytułowej i Skolimowskim w roli Horodniczego. Następnie szły sztuki: „Ich czworo", „Pan inspektor przyszedł", „Dom otwarty". Teatr kielecki, to zapomniany teatr, którym się mało kto interesuje z obserwatorów ruchu teatralnego w Polsce i o którym prawie nic się nie pisze. A jest to placówka ciekawa, zasługująca na uwagę.

Jan Maria Gisges

POZNAŃ

Zjawiskiem co najmniej dziwnym i niepokojącym w chwili obecnej są tzw. zawodowe teatry stolicy Wielkopolski. Miasto, które urządza Targi Międzynarodowe, podejmuje częstych gości zagranicznych, miasto piękne, wzorowo zorganizowane, imponujące rozmachem odbudowy gospodarczej i chlubną ambicjonalną postawą wobec zagadnień ogólnopaństwowych — Poznań nie umie dotychczas rozwiązać problemu swego życia teatralnego. Osiągnięcia w innych dziedzinach sztuki, wysoki poziom kultury muzycznej, której krzewienie leży w ambicjach miejscowych władz (troska o byt Opery Państwowej i Towarzystwo Filharmonii Robotniczej) nie mogą pokryć otwartego, stale palącego zagadnienia teatru, sztuki najbardziej społecznie i wychowawczo odpowiedzialnej.

Na początku sezonu 1947/48 Wojewódzka Rada Kultury w Poznaniu sprecyzowała swe postulaty wobec działalności Państwowego Teatru Polskiego. Teatr ten spełniać miał rolę czołowej sceny Wielkopolski, sceny kształcącej, opierającej swój repertuar na klasycznych dziełach literatury polskiej i obcej oraz dziełach najnowszych, ujmujących zagadnienia współczesności.

Działalność dwu innych teatrów zawodowych w Poznaniu (Teatru Nowego i Komedii Muzycznej) wywołała protest w Miejskiej Radzie Narodowej. Do dzisiejszego dnia kwestia teatralna Poznania pozostaje nadal w sferze protestów. Postulują już i protestują nie tylko czynniki urzędowe ale publiczność, którą zamyka się w szablonach, karmi starymi gierkami i efektami burżuazyjnego teatru, a czasem zwykłą teatralną szmirą.

Trudno dopatrzyć się tu jakiejkolwiek przemyślanej linii repertuarowej. Trudno zrozumieć w jakim np. celu Teatr Polski, który reprezentuje pewne ambicje artystyczne wystawia sztukę „Słońce w nocy", odwołującą się do najniższego typu wzruszeń, niedojrzałej kulturalnie publiczności i budzącą wiele ogólnych sprzeciwów. Teatr Nowy, oparty na inicjatywie prywatnej, prowadzi politykę sprowadzania na jednorazowe występy sławnych artystów sceny polskiej (Ćwiklińska, Górska, Damięcki). Dokooptowani sztucznie artyści, odbijając na tle miejscowego zespołu, tworzą teatr „gwiazd" i w ten sposób mają nadawać sens przedstawieniom, o których wyborze sami decydują.

Repertuar idzie po linii gwarancji kasowej i prywatnego gustu powołanych i niepowołanych jednostek.

Ofiarą tych nieporozumień pada oczywiście publiczność, owa poznańska publiczność niezwykle chłonna i spragniona przeżyć teatralnych.

Za przykład służyć tu może ostatnie przedstawienie w Teatrze Nowym: „Uczeń diabła" Shawa. Powstają tu trzy zasadnicze pytania: 1) Jaki jest cel wychowawczo-artystyczny podejmowania tego rodzaju przedstawień? 2) Jak określić typ realizacji? 3) Jaka jest reakcja publiczności?

„Uczeń diabła" Shawa — to jedna z pierwszych i słabych sztuk tego autora. Oparta jest na starym dramatycznym motywie człowieka nieuznanego przez społeczeństwo, a reprezentującego większą wartość od swego otoczenia. Filiacje literackie tego motywu są niezwykle bogate w dramacie romantycznym („Zbójcy" Schillera). Z czasem motyw ten przechodzi do sztuk popularnych melodramatu, staje się punktem wyjściowym dla efektownych popularnych fabuł, schodząc do banału. Dla Shawa — kpiarza, drwiącego z pozorów idei, walczącego z obłudą ustalonych instytucji społecznych, motyw „szlachetnego diabła" był bardzo nęcący. Ale Shaw intelektualista, który w dalszej swej twórczości znalazł wyraźną drogę artystyczną wyrażającą się w bezkompromisowej negacji i błyskotliwych paradoksach, ten Shaw w „Uczniu diabła" uwiedziony melodramatycznym wątkiem popełnia szereg niekonsekwencji, zbija się sam i gubi. Nie umie zająć postawy zdecydowanej, traci styl kpiarza, paradoksisty na rzecz pozornych wartości moralnych. Niekonsekwencje sztuki podkreśliła reżyseria Dobiesława Damięckiego.

Zadanie reżysera trudne. Realizacja sceniczna poszła drogą najmniejszego oporu. Za autorem, uwiódł melodramat reżysera, aktora, zdezorientował publiczność, ów melodramat działający banalnym motywem i pozorną problematyką moralną. Końcowa scena sztuki stawiająca elementy groteskowe obok naturalistycznych, kuglarstwo intelektualne obok patosu i hurra — patriotycznych deklamacji, rozładowała ostatecznie wrażenie estetyczne, stworzyła ogólne wrażenie próżni.

Sytuację teatralną pogarsza fakt, że przedstawienie „Ucznia diabła" jest w bieżącym sezonie względnie najlepszą pozycją sceniczną Poznania.

Amelia Radost

KRAKÓW

Teatr Słowackiego w Krakowie ma scenę o dobrej tradycji — ma parter, dwa piętra i galerię, bogato ozdobione sensacyjnym ornamentem. Ilekroć spoglądam spod samego niemal stropu na bombonierkowate wnętrze widowni mam chęć parsknąć śmiechem. Ot, snobizm mieszczaństwa naśladującego „przepych" dworu Franz-Josepha. Niemal że odruchowo wyczekuję w pustych jeszcze lożach bokobrodów i wspaniałych sukni.

Stroje jednak się zmieniły, publiczność jak zazwyczaj wypełnia „po brzegi" teatr — światła gasną — w mroku giną kontury sztukaterii i złoceń, przed nami — Gogol.

„Rewizor" odbył już wędrówkę po teatrach polskich i wreszcie zawitał do Krakowa. Rozpowszechnienie jego jest słuszne. Dramat ten doskonale sceniczny — o prostej intrydze, trzymającej jednak widza w napięciu. Sztuka do dziś nie straciła na aktualności. Dlatego niesłusznym wydaje mi się dokładne umieszczenie jej w czasie i przestrzeni (Na dekoracjach wyraźny napis 1831 r. i carski orzeł dwugłowy). Jest to swojego rodzaju pomniejszenie wartości satyrycznych dotąd świeżych.

Jest to satyra zrozumiała dla mentalności wielu narodów.

Bardzo bym chciał zobaczyć „Rewizora" zagranego na poważnie, to znaczy z podkreśleniem ostrza satyrycznego — a bez tuszowania śmiechem przerysowanych postaci i dodatkami reżyserskimi. Tak aby wyszedł pokryty uśmiechem społeczny sens. „Śmiejcie się z siebie samych" — mówi Horodniczy do widowni. Rzecz ciekawa, że po tym jego wykrzykniku następuje pewna konsternacja. Ten wykrzyknik Horodniczego najlepiej wskazuje dla kogo i w jakim celu Gogol napisał „Rewizora".

Publiczność śmieje się wesoło na farsie Lubiche'a „Słomkowy kapelusz" wystawionej w Starym Teatrze — nie wiadomo właściwie po co. Sztuka ta posiada jedną tylko zaletę: można wykorzystać aktorów, scenę obrotową i pobudzić ludzi do śmiechu.

A teraz inna sprawa. — W trzecią rocznicę oswobodzenia miasta gościł teatr katowicki na deskach „Słowackiego". Wystawili „Igora Bułyczowa i innych". M. Gorkiego. Tematem są tu dzieje rodziny kapitalistycznej w 1917 r. Katowice i Kraków chcą oddziaływać na siebie wzajemnie drogą wymiany. Dzięki temu mieszkańcy Krakowa mogą oglądać widowiska katowickie i naodwrót. Niewątpliwie tego rodzaju polityka teatralna przy dobrze ułożonym repertuarze może przynieść obustronne duże korzyści.

Teatr katowicki dał wartościowe przedstawienie utrzymane w tonie ostrego realizmu, który zresztą narzuca autor.

Zainteresowała mnie jednak inna sprawa. Gdy wdrapałem się na „jaskółkę" — okazało się, że prawie cała wypełniona jest żołnierzami. Zapewne w związku z rocznicą. Z satysfakcją patrzyłem na tych prostych szarych ludzi ubranych w mundury. W jaki intensywny sposób chłonęli i przeżywali dzieje dramatu.

Szkoda tylko, że dla tych widzów nie poprzedzono przedstawienia zwięzłą prelekcją wyjaśniającą sens sztuki.

Stefan Gierowski

KATOWICE

W Katowicach wiele się zmieniło i to zmieniło na lepsze. Jakiż to teatr mieliśmy tutaj przed wojną? Poza kilkoma zaledwie przedstawieniami mogącymi uchodzić za osiągnięcia na miarę ogólnopolską, czuło się w Katowicach zapadłą prowincję. W repertuarze przedwojennym pełno było bezwartościowych sztuczydeł, fars i krotochwil, których wystawiania nic nie usprawiedliwiało. Przedwojenny teatr katowicki wyraźnie schlebiał drobnomieszczańskim gustom, złemu smakowi niewybrednej i nielicznej zresztą publiczności. Roiło się od rozmaitych „Dobrych wróżek", „Teściów", „Krawców w zamku" — ostatnia sztuka znalazła się zresztą jakby dla podkreślenia, że nie wszystko jeszcze w porządku, i w powojennym repertuarze za dyrekcji Br. Dąbrowskiego; roiło się od wielu jeszcze innych banalnych „dramatów miłosnych". Nie ratują sytuacji repertuarowej przedwojennego teatru katowickiego takie pozycje i zarazem osiągnięcia na dużą skalę, jak „Dziady", „Wyzwolenie", „Turoń" i parę innych. Jako plus trzeba tu policzyć postawienie jednego całego sezonu pod znakiem polskiego autora. Czy nie warto by dzisiaj pomyśleć o podobnym eksperymencie?

Po wojnie teatr im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach nie tylko nominalnie z Miejskiego stał się Państwowym Teatrem Śląskim, ale i faktycznie wyrósł na ważną placówkę kulturalną w skali państwowej. Obecny dyrektor Władysław Krasnowiecki stworzył teatr **par excellence** społeczny. Nie licząc sztuk wystawionych na Małej scenie ani „Snu nocy letniej" i „Głupiego Jakóba", umieścić trzeba na jednej linii repertuarowej wszystkie trzy dotychczas przez Krasnowieckiego wystawione choć bardzo różne charakterem sztuki. Są to „Krakowiacy i Górale" Bogusławskiego, „Igor Bułyczow" Gorkiego i „Pastorałka" Schillera. Jest coś, co wiąże wymienione trzy sztuki. Wszystkie one spełniają postulat teatru popularnego, teatru ludowego, teatru liczącego na masy społeczne. Z takim repertuarem dopiero nabiera teatr sensu społecznego.

Teatr na Śląsku pracuje w specyficznych warunkach. Specyficzne jest społeczeństwo i skład publiczności teatralnej. Program Krasnowieckiego dobrze może się przysłużyć upowszechnieniu kultury teatralnej wśród społeczeństwa śląskiego.

Aleksander Widera



Katowice. J. Colonna-Walewska i Ireneusz Erwan w „Pastoralce" L. Schillera

WROCŁAW

Państwowy Teatr Dolnośląski (upaństwowiony od maja 1947 roku) rozporządza dziś dwiema scenami. Swoją dawną, gdy był jeszcze miejskim w budynku na Świdnickiej i sceną Tatru Popularnego, związanego przedtem z OKZZ. Obie sceny spełniać mają różne funkcje. Teatr Popularny ma być jakby przedsionkiem teatru na Swidnickiej. Sztuki grane na deskach Popularnego przygotowywać mają niewprawionego widza do recepcji sztuk poważniejszych, wystawianych w Teatrze Państwowym. Z tego punktu widzenia ciekawe byłoby prześledzenie repertuaru Teatru Popularnego i ocenienie o ile sztuki tam wystawione są dla nieprzygotowanego, prymitywnego widza szkółką właściwą do wprowadzenia go w zrozumienie sztuk wielkiego kalibru, czy są środkiem dostatecznie atrakcyjnym dla zaznajomienia go z teatrem i utrzymania przy nim.

Na scenie Popularnego w ciągu ostatnich kilku tygodni szły dwie komedie „Szesnastolatka" (F. Stuartow) oraz „Ładna historia" trzech francuskich autorów C. Caillaveta, R. de Flersa i S. Reya. Teatr Popularny obliczony jest na widza nowego, na człowieka pracy, przede wszystkim na robotnika. Tymczasem obie komedie przedstawiają środowisko mieszczańskie a na skutek tego związane z nim pewne kategorie myślenia i postępowania nie zawsze godne upowszechniania. Uważam, że robotnik ciężko pracujący czuć się musi raczej obco na takiej „Szesnastolatce" czy „Ładnej historii".

Natomiast wystawienie z końcem ubiegłego roku „Madame Sans-Gêne" czy „Inspektor przyszedł" i „Pygmaliona" na scenie Państwowego — z podkreślonymi akcentami społecznymi — realizuje ten postulat przystosowalności do zainteresowań prostego widza. Widz czuje, że interes jego reprezentowany jest i przez teatr.

Władysław Leszczyński

FAKTY I ZDANIA

„Drażliwe" pytania

Amerykański Tygodnik „The United Halis News" zamieścił 7 listopada artykuł pt. **„Kilka pytań bez odpowiedzi Davida Lawrence'a na temat planu Marshalla..."**

„Łatwo jest zachwycać się zaletami planu Marshalla: dać żywność i maszyny, oraz materiał dla odbudowy Europy. Lecz jak to uczynić? Czy mamy przekazywać wielkie sumy zagranicznym rządom i pozwolić aby zużywały te pieniądze według swego widzimisię? Kiedy za kilka miesięcy zwrócą się do nas powtórnie, aby im dać więcej, czy będziemy wiedzieli jak te pieniądze zostały zużyte, i jakie jest usprawiedliwienie dla kontynuowania pomocy? Czy powinniśmy nadstawiać uszy dla częstych alarmów o przenikaniu komunistów i wysyłać dolary ilekroć taki okrzyk zabrzmi?

Gdzie dowiemy się, jaki jest sposób odbudowania zniszczonej wojną gospodarki kontynentu? I w jaki efektywny sposób może być zrealizowany jakikolwiek ekonomiczny plan, jeżeli każdy rząd **dopatruje się** w naszym pragnieniu sprawowania kontroli nad zużywaniem pieniędzy **likwidacji suwerenności i deptania swej dumy?...**

To więc nas skłania do nalegania, przed zaakceptowaniem jakiegokolwiek planu Marshalla, aby ustanowione zostało odpowiednie **zabezpieczenie**, które umożliwi Ameryce wgląd w to, czy towary, lub fundusze są we właściwy sposób zużytkowane.

Jeżeli dla przykładu, **duma** lub **względy technicznej suwerenności (?!)** (technical sovereignity) będą stawiały przeszkody ze strony obecnego rządu w stosunku do naszych planów, należy wtedy uchwalić tylko pomoc żywnościową. W czasie wojny narody, którym pomagaliśmy były szczęśliwe(!), mogąc rezygnować ze suwerenności do tego stopnia, iż dopuszczały amerykańskich głównodowodzących do obejmowania kierownictwa operacjami ich własnych armii.

Amerykańskie agencje gospodarcze w rzeczywistości zaopatrywały sprzymierzone kraje. Potrzeba **tego stanu** jest dziś tak **nagłą**, jak była wtedy.

Musi powstać nadrzędna ekonomiczna władza składająca się w większości z amerykańskich urzędników. Tylko z centralnej agencji można wydawać instrukcje oraz **ustalić kwoty produkcyjne**, które dadzą rękojmię, że bieżące plany zostaną zrealizowane. Istnieje ponadto potrzeba otrzymywania **stałych wskazówek ze strony businessmenów, przemysłowców** i eksporterów technicznych, zbliżonych do poszczególnych gałęzi przemysłu. Agencja ustanowiona przez Kongres dla reprezentowania USA, dla wydatkowania pieniędzy, lokowania towarów, i sprawowania kontroli nad eksportem, musi być zespołem ludzi praktycznych, wybranych z **szeregów tych, którzy są zaangażowani w podobnych operacjach codzień.** Nie stać nas na to, aby powierzyć kierownictwo w odbudowie Europy **grupie dyplomatów, lub biurokratów.**

Musimy mieć ludzi, którzy będą posiadali właściwą umiejętność podejścia do sprawy. Tylko w ten sposób możemy być pewni, że pieniądze będą właściwie zużyte. **Nie powinniśmy zachwiać** się przed krzykami o amerykańskm „imperializmie", który rozlegnie się z Moskwy....

Lecz nic nie mogłoby być bardziej tragiczne, niż otrzymywanie wielkich sum ze Stanów Zjednoczonych i błędne ich zużytkowanie przez europejskie kraje.

Istnieje w Ameryce wrażenie tego rodzaju odnośnie pożyczki brytyjskiej. Istnieje uczucie, **że pieniądze te nie przyniosły pożytku** a rząd brytyjski spartaczył robotę przez jego **eksperymenty nacjonalizacyjne i socjalizm (?). W rzeczywistości fakt ten wyrządził planowi** Marshalla **więcej szkody** niż cokolwiek, co się dotąd zdarzyło...

Co z Niemcami? Ostatni, lecz bynajmniej nie najmniejszy jest problem, co zrobić z Niemcami? Znajduje się tu **męski(?)** naród, który może być użyty do odbudowy Europy. Musimy przede wszystkim odpowiedzieć sobie na ptanie, czy odbudowując Niemcy dozbrajamy wroga.

To jest zawsze ryzykiem. **To było dawniej ryzykiem, teraz osiągnęliśmy efektywne poczucie bezpieczeństwa.**

Nie ma powodu **wahać się dziś**, tylko dla tego, że w przeszłości zaniedbaliśmy zapewnić sobie bezpieczeństwo".

Komentarze są zbyteczne!

Adam Leśniewski

Entuzjastom demokracji zachodnich

Jakżeż w Stanach Zjednoczonych wygląda problem „wolności słowa"? Ciekawych informacji dostarcza nam tu artykuł Wojciecha Byliny w ósmym numerze „Odrodzenia": „Mity amerykańskie". Wiedzieliśmy coś niecoś o amerykańskich koncernach prasowych, docierały do nas nazwiska amerykańskich potentatów prasowych jak: Hearsta, Mac Cormicka, Franka Ganneta; entuzjaści amerykańskiej demokracji, w której jedną z naczelnych swobód obywatelskich ma być wolność słowa nie orientowali się jednak, że ci monopoliści na urabianie opinii publicznej, by wykluczyć metodą kapitalistyczną wszelką możliwą konkurencję, zorganizowali się w potężny trust-agencję prasową — Associated Press. Agencja ta ma pod swoją bezpośrednią kontrolą 96 proc. dziennego nakładu prasy amerykańskiej. Te 96 proc. prasy amerykańskiej służy rzecz jasna, podtrzymaniu systemu kapitalistycznego, informuje opinię jednostronnie; na łamach tej prasy można czytać takie kwiatki.

Przytaczamy wypowiedź A. Słonimskiego: „Czytałem w jakimś piśmie amerykańskim długi wywód na temat przyszłej wojny. Autor twierdzi, że Niemcy nie są potrzebne do wygrania wojny z Rosją, bo wystarczy bomba atomowa, ale że Niemcy będą potrzebne do kolonizacji Rosji i całej wschodniej Europy" („Nowiny Literackie" Nr 8). Oto duch zmonopolizowanej prasy amerykańskiej, oddany w służbę imperialnej polityce nowych kandydatów na panów świata. Jest jednak, powie ktoś te 4 proc., które swobodnie mogą docierać do obywatela amerykańskiego. Posłuchajmy, co pisze w związku z tym Czesław Miłosz: „Po dwóch dniach w Nowym Yorku, załatwiwszy tylko połowę spotkań, wracam do domu. Na Pennsylvania Station zatrzymuję się przy kiosku z pismami. Ciekawe. Sprzedawca ma „The New Republic" i „The Nation", ale trzyma je pod pudełkami cygar, śmiecie najrozmaitszego rodzaju za to na wierzchu. To samo zauważyłem ostatnim razem. Natarczywie pytam go dlaczego trzyma te pisma w ukryciu. Wzrusza ramionami. Tam ich miejsce. Nie ma miejsca gdzie indziej. Na próżno usiłuję rozwiązać zagadkę: czy sam jest wrogiem kierunku politycznego tych pism, czy kazali mu to ludzie, od których jest zależny. Jeżeli jest to konspiracja tępienia, to jak daleko sięga. A pisma te nie są nawet komunistyczne, są tylko liberalno-lewicowe".

Długa jest ręka prasowego monopolisty amerykańskiego — potrafi ona odciąć czytelnika od tych kilku pism, w których mógłby się ukazać list pisarzy radzieckich do pisarzy amerykańskich, nawołujący do obrony pokoju i kultury. Takie pismo ukryje on na dnie kiosku stacyjnego, a gazetę, w której się marzy o imperialnej wojnie ze Związkiem Radzieckim, każe on wywiesić na najwidoczniejszym miejscu. Oto wolność słowa dzisiejszej Ameryki.

M. Koliba

Zyski kapitalistów francuskich i nędza mas

Nr 8 „Świata i Polski" podaje za centralnym organem francuskiej partii komunistycznej „L'Humanité" ciekawe dane dotyczące stosunków płac robotniczych do cen, oraz zysków kapitalistów w roku budżetowym 1946 — 1947. Okazuje się, że „szesnaście spółek akcyjnych różnych branż ujawniło w roku budżetowym 46—47 przeszło 615 milionów franków zysków wobec 327 milionów w roku poprzednim. Wzrost zysku wynosi średnio 90 procent.

Jak wygląda w tym samym czasie wzrost płac robotniczych i cen? Jeżeli przyjmiemy płace i ceny z roku 1938 za 100 — podaje „L'Humanité", to okazuje się, że:

	Płace robotnicze		Ceny
październik 1944	— 230	—	290
„ 1946	— 520	—	860
„ 1947	— 620	—	1260

Widać z tego, że ceny wzrastają dwa razy szybciej niż płace".

Widać z tego również, że robotnicy mają rację organizując strajki przeciwko francuskim trustom — oraz, że rząd francuski, wysyłając policję na strajkujących daje dowód wyraźnego związania się z tymi siłami społecznymi, które są wrogie postępowi i pokojowi.

M. G.

Matematyka a płeć

Artykuł pióra dr Witolda Rybczyńskiego pod powyższym tytułem, który ukazał się w nr. 9 (118) „Tygodnika Warszawskiego" stanowi rewelację w dziedzinie metod nauczania matematyki. Zasadnicza teza artykułu głosi: „Szkoła koedukacyjna jest pedagogicznym nonsensem". Uzasadnienie polega na tym, że na skutek zmieszania płci zamyka się pole dla różniczkowania programu pod kątem zainteresowań i właściwości charakterów poszczególnych płci. Zdawałoby się jednak, że w matematyce jest to obojętne, że nauczanie tego przedmiotu wymaga od wszystkich bez wyjątku umiejętności logicznego myślenia, systematyczności itp. Ale skądże nie bądźmy naiwni. Przecież u dziewcząt góruje intuicja nad rozumem, u chłopców zaś rozum nad intuicją. „Z tego wynika, że w szkole żeńskiej należy uczyć matematyki metodą intuicyjną kosztem ścisłości i nużących logicznych dowodów" konkluduje p. Rybczyński. Warto by się zastanowić, jakimi wobec tego metodami należy nauczać religii w szkole męskiej.

Witold Jedlicki

I znowu Markowski

W dodatku recenzja taka sama. „Dziś i Jutro" ciekawsze przedstawienia teatralne w poszczególnych miastach naszego kraju powierza oczom i opinii stałego swego recenzenta, który w dziale „Wędrówki po scenach polskich" ma zapoznać czytelników całego kraju, z problematyką współczesnego teatru. Recenzent w szeregu sprawozdań ukazuje „właściwy pazur talentu" nietyle reżysera ile własny. Np.: w Nr 6(115) z okazji „Żabusi" Zapolskiej czytamy: „Wystarczy gdzieś w jakimś towarzystwie wspomnieć o tym, jak to się żyło na początku wieku pary i elektryczności, przed erą Atomowej Bomby, dokładniej mówiąc na przełomie stuleci, by nasze bardzo postępowe przekonania oburzać się poczęły na dnie, w których do małżeństwa panna młoda wnosiła posag, a pan młody choroby weneryczne". „W powodzeniu Zapolskiej dopatrzeć się trzeba faktu, iż mimo wszystko skóra postępu nie urosła na nas jeszcze zbyt grubo, że lubimy się pośmiać z wad, które... pocichutku powiedzmy... w mniej może ostrej formie odziedziczyliśmy po rodzicach".

Być może, być może, stwierdzenie to bardzo ładnie świadczy o odwadze cywilnej recenzenta „Dziś i Jutro" no i samego pisma, ale czy przeciętny czytelnik zdolny będzie ocenić tę odwagę? Wątpię. Co najwyżej wyciągnie stąd praktyczny wniosek, że podobnie uświadamiającą pod względem dziedzicznych spadków rolę spełnić może poradnia w Ubezpieczalni Społecznej. Przynajmniej bezpłatnie. Chcąc nie chcąc więc, recenzja Markowskiego przestaje służyć interesom teatru, a przerzuca się w niemniej ważną dziedzinę zagadnień psycho-fizjo-biologicznych. Radzimy czymprędzej zacząć studiować medycynę.

Ciekawy problem zostaje odkryty także przy okazji „Obrony Ksantypy" Morstina Nr 7 (116). „Warto byłoby jednak kiedyś w spokojnej chwili wziąć sztukę Morstina za podstawę wyjściową do dyskusji na temat, jaka powinna być żona Sokratesów?". Narzuca się to, jako konieczność w dobie kiedy co drugi recenzent zostaje Sokratesem. O biedna idealna żono, która masz tym rzeszom być przeznaczona. Jedyna nadzieja w tym, że dla zachowania kosmicznej równowagi w dalszym ciągu będą się jednak rodzić Ksantypy-poskromicielki, bez których nasi Sokratesi zawładnęliby nie tylko wszystkimi szpaltami czasopism, dzienników i kalendarzy ściennych, ale kto wie, może zechcieliby wydawać książki? I znacznie częściej niż co tydzień musielibyśmy czytać: „Rekompensatą za wszystkie usterki nieudanego prologu i trochę anemicznych pierwszych dwóch aktów, był akt trzeci... Widownia miała możność rozruszać się, zapalić, nabrać entuzjazmu i w tym nastroju przyjąć równie udany epilog komedii" („Dziś i Jutro" Nr 8(117).

Największy płomień ogarnął widownię po zakończonym przedstawieniu, ale nie spadł się niestety na nim nasz recenzent. Wprost przeciwnie, rozruszał się, nabrał entuzjazmu i w tym nastroju informuje dalej czytelników o tym, co mu się snuje po głowie w czasie wędrówek po scenach polskich.

Dochodzą słuchy, że kolumna mu już ledwo starcza.

Jaskółka

Gogol a hemoroidy

Mówi się często o „Nowinach Literackich", że to pismo eklektyczne. Ostatnio jednak — przynajmniej w dziedzinie problematyki historyczno-literackiej — daje się zauważyć wyraźna linia doboru prac. Uprzedzę pointę noty stwierdzając, że „Nowiny Literackie" kontynuują przestarzałe i dawno odrzucone przez postępową wiedzę o literaturze metody badawcze: biologizm i psychologizm i że konsekwencja naukowa pisma wręcz nie eklektyczna — jest zastanawiająca.

Myślę tu o ostatnio drukowanych większych rozprawach z zakresu historii literatury rosyjskiej: G. Timofiejewa „Tajemnicy kwiat tuberozy" (Nr 43) i J. Wyszomirskiego „Szkic do wizerunku Mikołaja Gogola" (Nr 47). Obydwa artykuły prześcigają się wprost w niepoprawnościach naukowych. O ile Timofiejew usiłuje biologizującą metodę swojej pracy zasłonić jakimś pozornym, werbalnym wręcz socjologizowaniem, o tyle Wyszomirski stwierdza bez ogródek, że chodzi mu o „osobowość" Gogola, o jego „indywidualność człowieczą", „stanowiącą dla psychologa, dla psychoanalityka, dla psychiatry przedmiot najwyższego zainteresowania". Tak, dodajmy — ale nie dla historyka literatury, który chce nakreślić poprawnie skonstruowany tzw. „życiorys literacki" Gogola, a takie ambicje — jak wynika z tekstu rozprawy — ma przecież Wyszomirski.

Wyszomirski zachłystuje się zachwytem nad niemiecką literaturą naukową, która zbadała dokładnie „ruch falisty" życia Gogolego, stany jego „wysokiego podniecenia", występujące regularnie co siedem lat i rozkwitanie w związku z tym „twórczości genialnego poety". To daje Wyszomirskiemu asumpt do wygłoszenia ogólnej zasady metodologicznej, pewno rodem z „Ludzi genialnych" Kretschmera: „Falistość tedy, okresowość, cykliczność — czyli w istocie zmienność i nieregularność — oto natura każdego geniusza".

Według stwierdzenia Wyszomirskiego osobowość Gogola jest „dziwna i niepokojąca". Co prawda wpływały na nią — poza czynnikami, których źródła tkwiły w naturze i usposobieniu pisarza — i „smutne warunki ówczesnego życia rosyjskiego". O tych ostatnich jednak niewiele wyczytamy z rozprawy Wyszomirskiego. „Dusza kozacza", hemoroidy, ambiwalencja duchowa, pochodzenie, które równa się „rodowodowi czysto biologicznemu", kompleks niepełnowartościowości — oto dobrze znane kryteria z przestarzałej historii literatury, którymi operuje Wyszomirski. Podobnie ma się rzecz z podawaniem wątpliwej genezy utworów, z dokładnym odnoszeniem poszczególnych faktów z życia Gogola do sytuacji literackich. To oczywiście może być bardzo pasjonujące dla psychologa i psychoanalityka. Ale szkodliwa jest taka zabawa uprawiana na gruncie historii literatury. Nawet gdy chodzi tylko o życiorys, bo i w tym zakresie wytyczono już dokładne i poprawne dyrektywy metodologiczne.

Trudno byłoby cytować całość długich wywodów Wyszomirskiego. Zainteresowani odradzającą się na łamach „Nowin Literackich" hydrą biologizmu, której — wydawało się — odcięto łeb już dość dawno, mogą przecież zajrzeć do odnośnych numerów pisma.

„Dziwne i niepokojące", jak „osobowość Gogola", że „Nowiny Literackie" odnawiają, odmuchując troskliwie z pyłu dziesięcioleci, koncepcje naturalizmu wraz z jego teorią biologicznego uwarunkowania geniuszu. I wcale mnie to nie zdumiewa, że autor — jak się sam żali — nie miał możności zdobycia dokładnych informacji, jak daleko posunięte są badania nad osobowością Gogola (nie badania nad „samą twórczością", bo już wszystko — zdaniem autora — zdziałali formaliści) dzisiaj w Związku Radzieckim. Tam bowiem już dawno wyrzucono do lamusa podobną szkodliwą starzyznę naukową.

Jotem

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080.
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—018445